

# B L U S Z C Z



WARSZAWA, 23 STYCZNIA 1926 ROKU



## OD ADMINISTRACJI

Celem uniknięcia zwłoki w wysyłce pisma, prosimy o rychłe wpłacanie prenumeraty za m. luty b.r.  
Czeki P. K. O. dołączamy do niniejszego numeru.

ANNA SŁONCZYŃSKA

MUZYKA SŁOŃCA I BOŻE GNIAZDO (poezje) 2 tomiki Zł. 5.  
Nakład Ludwika Chomińskiego. Wilno. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

NIE WYRZUCAJMY PIENIĘDZY NA OBCE ZAGRA-  
NICZNE WYDAWNICTWA — SKORO MAMY SWOJE  
CONAJMNIJ RÓWNIEMIE DOBRE!

Wydany przez nas bardzo starannie,

## ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do naj-  
skromniejszych, dorównyduje pod względem wykonania zagra-  
nicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty,  
bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

ZBIÓR TEN JEST NIEZBĘDNY  
W KAŻDYM OSZCZĘDNYM I RZĄDNYM  
DOMU

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU”  
(ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacie Panie około 2 zł; cena na-  
szego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy prze-  
kazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu  
1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I RĘKACH  
KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIATY) NA NO-  
GACH, NIECH KUPI PASTĘ

ESTA

ZNANĄ OD CZTERDZIESTU LAT ZE SWOJ  
SKUTECZNOŚCI, CZEGO DOWODEM SETKI  
UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ

wyrobu aptekarza E. SOKALSKIEGO w Kętach—Małopolska.





ROK LIX

NR. 4

# KOBIECA

WARSZAWA, 23 STYCZNIA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Wymowa cyfr—*M. Domańska*. Czarodziejstwem sztuki—*H. C.* O białce mazurskiej—*Emilja Sukertowa*. Czterokolorowe godziny—*Marja-Jebanne Wielopolska*. Wiersze: Z cyklu „Śmieciuski”—*Felicja Kruszevska*. We mgle (fragment niewydanej powieści)—*Teresa Sapieżyna*. Jedno spojrzenie (c. d.)—*Marja Kuncewiczowa*. Córka Boga(c. d.)—*Z. Zawiszanka*. Na stopniach tronu (dok.)—*Marjan Dubiecki*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Szkoła zdobniczo-gospodarcza w Działdowie. Z książek—*C. W.* Z teatrów—*Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Żakiecik na siatce. List z Paryża—*Sekwa*. Moda na scenie—*W. L.* Mody męskie w latach 1818—1842—*Spero*. Krzywica i jej przyczyny—*Dr. Gabriela Mojewska*. O użytkowaniu i podziale mięsa—*J. S.* Bufety na zabawach.—*Poni Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jareмка i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.)—*Hugh Walpole*—(tłum. z angielskiego *Irena Wasutyńska*). TABLICA KROJÓW.

## WYMOWA CYFR

Proste zestawienie cyfr bardziej bywa wymowne i silniej przekonywujące niżeli długie wywody. Owe suche kolumny bywają czasem wprost druzgoczące. Oto parę takich kolumn. W roku 1924-ym I-szem półroczu 1925-ym przywieziono do nas z zagranicy:

Tkanin jedwabnych, tiulów i tkanych chustek . . . . .	zł. 28.501 000
Aksamitów, pluszów, fularów . . . . .	410.000
Wstążek i taśm jedwabnych . . . . .	2 296.000
Tkanin, wstążek i taśm półjedwabnych „	8.461.000
Wyrobów szmuklerskich . . . . .	650.000
Koronek i haftów ze złotego i srebrnego szychu . . . . .	751.000
Tkanin jedwabnych haftowanych jedwabiem . . . . .	2 947.000
Piór, kwiatów sztucznych, paciorek, imitacyj pereł i koralii . . . . .	1.094.000
Jedwabnej i półjedwabnej damskiej bielelizny i trykotów . . . . .	2.871.000
Wyrobów galanteryjnych i toaletowych „	6.298,000
Zabawek dzieciennych . . . . .	2.548.000
Rękawiczek, pończoch, swetrów jedwabnych i półjedwabnych . . . . .	2.947.000

Zsumowawszy te cyfry i rozdzieliwszy je na rok 1924 i pierwsze półrocze 1925, otrzymamy cyfry następujące: w r. 1924 sprowadzono do Pol-

ski sukien, odzieży damskiej, wstążek, koronek, pończoch, swetrów i t. p. za sumę ogólną złotych 34.314.000, zaś w pierwszym półroczu 1925 za 16.314.000 zł. Wyrobów galanteryjnych i toaletowych w r. 1924 sprowadzono za 5.897.000, a w I-szem półroczu 1925 za 3.337.000, czyli w sumie ogólnej 9.234.000.

Takie sumy wprost przerażające poszły jedynie na damskie fatałaszkę i co podkreślić należy nie na rzeczy niezbędnej potrzeby, ale na rzeczy z bytku. Tiule, hafty, koronki, jedwabie... we wszelkich kombinacjach.

To było w roku 1924 i w początkach 1925. Od tego czasu zaszły zmiany zasadnicze. Jako pierwszy kardynałny obowiązek narodowy postawiony nam został postulat: ratować zagrożony byt materialny narodu, popierać swoją wytwórczość, ograniczać import zagraniczny do minimum i oszczędzać, oszczędzać... Przyszedł karnawał 1926-go roku, roku naprawy i pokuty za lekkomyślność lat ostatnich.

Proza nawołuje wielkim głosem do gruntownych reform gospodarczych, nie tylko w zakresie państwowym, ale i prywatnym, wśród ognisk domowych, gdzie budżet układa kobieta. Tymczasem posłuchajmy „przeciętnej rozmowy” „przeciętnych” pań na „przeciętnem” zebraniu towarzyskiem. Jednej udało się przez dyplomatycznego



kurjera sprowadzić sobie suknię od Drécolle, „bo warszawskie magazyny takie szablonowe mają pomysły“, druga marzy o modnych w Paryżu kapeluszach z lamy srebrnej, lub złotej, trzecia z pogardą odzywa się o znanem ze swej wykwintności warszawskim obuwiu i uznaje tylko zagraniczne brokatowe pantofelki, czwarta nie wyobraża sobie życia bez perfum i pudru Guerlaina, i t. d. i t. d., w nieskończoność, ze wszelkimi warjantami. „Co mnie to obchodzić może? niech rząd myśli o tem, aby złoty podtrzymać!“ — oto zwrotka kończąca rozmowę. „Ja nie mogę odróżnić się od innych i ubierać się jak małomiasteczkowa kwoka. Stanowisko męża... karjera syna...“.

A przytem to najczęstsze i najgorsze: „Ja jedna nie zbawię finansów...“

Patrzę, słucham i zdumiewam się. Gdzież są te, które z tak cudowną pogardą śmierci niosły pomoc w 1920-ym r. polskim żołnierzom, synów swych niedorostków wyprawiały na bój za Ojczyznę. Te same Polki, słynne przez całe pokolenia z ofiarności swojej i gorących uczuć narodowych. A dziś, gdy znów padły hasła walki pokojowej za Ojczyznę, gdy zażądano ofiar i wyrzeczeń, miraż modnych gałganków jest tak silny, że załamują się w sobie i chwieją. Jak wytłumaczyć tę psychologię. Czyżby kobiety reagowały tylko na wstrząsające, przemawiające wprost do wyobraźni hasła?

Po upadku powstania 1863-go r. postanowiono nosić ogólną żałobę narodową. Oczywiście brutalni zwycięzcy reagowali na to hasło po swojemu: zdzierano kobietom żałobne kapelusze, ściągano z rąk na ulicy czarne rękawiczki, za noszenie czarnych sukien pociągano do śledztwa. Ówczesne kobiety nie ustąpiły przed przemocą. Zdjęły kapelusze i głowy okrywały chustkami, jak kobiety z ludu. Zaniechały noszenia sukien, a do kościoła i na ulicę wychodziły w rannych kaftanikach. Żadna jednak nie przełamała nakazu narodowego. Czy nakaz doby dzisiaj: zej mniejszą ma powagę i znaczenie?

Teraz kolumna cyfr z dziedziny nieco odmiennej, ale wchodzącej w ramy budżetu domowego i gospodarczego. Oto w okresie sprawozdawczym (r. 1924 i pierwsze półrocze 1925) sprowadzono z zagranicy.

pomarańcz i mandarynek . . . . .	za 21.010.000 zł
migdałów . . . . .	„ 2.583 000 „
orzechów, pistacji i kasztanów . . . . .	„ 10.859.000 „
rodzynek . . . . .	„ 5.059.000 „
fig i daktyli . . . . .	„ 3 248.000 „
śliwek, jabłek i gruszek suszonych . . . . .	„ 11.309.000 „
cytryn . . . . .	„ 4.533 000 „
winogron i innych świeżych owoców „	8.348.000 „

I znowu w tym spisie same rzeczy zbytku i ani jednej, któraby nie mogła zostać zastąpioną.

Święta tegoroczne Bożego Narodzenia zastały już chyba wszystkich należycie uświadomionych o finansowem położeniu kraju. A jednak ile domów odmówiło sobie kupna bakali, tureckich orzechów, fig, daktyli i t. p. Czyżby naszym paniom tak istotnie brakło pomysłów, że tych przysmaków nie potrafią zastąpić innemi, krajowemi..

Czas karnawału jest czasem przyjęć, podwieczorków tańczących, wieczorów, bali i t. d. Podstawę przyjęć tworzyły dotąd zawsze wina zagraniczne, likiery, koniaki, zagraniczne owoce i ryby.

Mamy wprost doskonałe wina i likiery krajowe, a podanie jabłek krajowych zamiast pomarańcz dla nikogo chyba krzywdą nie będzie. Zaczynamy surowy rok, reform i pokuty, pamiętajmy o tem na każdym kroku, a zwłaszcza strzeżmy się lekceważenia tej pierwszorzędnej sprawy, jak to niestety zbyt często się robi. Nie istnieją drobiazgi, gdy o dobro kraju chodzi.

A teraz prośba zwrócona do redakcji. Wiele z nas grzeszy pro prostu przez nieświadomość. Czyhy nie można było wprowadzić specjalnej rubryki, w którejby informowano jakich towarów — zwłaszcza w dziedzinie strojów, materiałów, dodatków do sukien — nabywać nie wolno? I jeszcze jedno: nie mówmy zbyt dużo o zagranicznych czarujących pomysłach mody, których w tym roku powinniśmy się wyrzec. Aby wytrwać w surowym nakazie, mądrzej jest unikać pokus. Dla kogo to wyrzeczenie będzie zbyt ciężkie, niech przypomni sobie chustki na głowach i ranne kaftaniki tak wykwintnych nieraz babek naszych. One ten strój dobrowolnie przyjęły, nosiły z beznadziejną rozpaczą w sercu, a przed nami wspaniałe jutro świta. My pokolenie wybrane radośnie nieśmy ofiary, jakich wymaga od nas chwila dziejowa. Cóż znaczą wyrzeczenia drobne, a nawet i wielkie, wobec przeświadczenia, że budujemy przyszłość — w słońcu wolności? *M. Domańska.*





## CZARODZIEJSTWEM SZTUKI

Ochotę, jedno z najnędniejszych i najbardziej zdziwiających przedmieść Warszawy, odwiedzał przez kilka dni „Rybałt“.

„Rybałt“—to wędrowny zespół artystów dramatycznych, którzy pod przewodnictwem wielkiej tragiczki, p. Stanisławy Wysockiej, postanowili czarodziejstwem sztuki rozświetlać mroczne otchłanie współczesnego życia polskiego. I wionął przez błotniste uliczki przedmieścia czar wielkiej poezji. W czarodziejskim zwierciadle „Balladyny“ ukazał się robociarzom warszawskim nieśmiertelny duch poety.

By zapoznać czytelniczki „Bluszczu“ z postacią znakomitej artystki i jej ideą, udałam się na wywiad dziennikarski do p. Wysockiej.

— Ach ten „Rybałt“ to cała tragedia! — mówi swym niskim, przejmującym głosem artystka.

— Czemu?—pytam.

— Ach, bo nikt nie chce zrozumieć naszej idei, bo bez pomocy Rządu takiego przedsięwzięcia prowadzić nie można, a Rząd głuchy jest na nasze przełożenia.

Z dalszej rozmowy okazuje się, że Departament Sztuki i Kultury udzielił p. Wysockiej zapomogi 2 tysiące zł., że z tym kapitałem przystąpiono do pracy. Dekoracje, kostjumy, rekwizyta teatralne wszystko robił Zespół sam. Znaleźli się w nim „majstrowie do wszystkiego“, którzy bardzo piękną wystawę stworzyli własnymi siłami, pracą rąk własnych, zapalem i wiarą w misję swoją, przypominający aktorów Jokay'a, co tchnieniem sztuki zapragnęli „poruścić z posad ziemię“.

Po szeregu prób, na które Stowarzyszenie Handlowców udzieliło bezpłatnie lokalu, dano 10 przedstawień „Balladyny“, pięć w lokalu Stow. Handlowców na Zielnej i pięć na Ochocie. W rezultacie przedstawienia te zwróciły część kosztów, ale nie dały zysku. Przeciwnie, są jeszcze długi. Artyści pracowali ideowo, marzili w zimnej sali kinoteatru na ul. Grójeckiej, po śniegu i błocie na piechotę brnęli nocą do miasta. Zespół ten, składający się z 26 osób, posiada pierwszorzędne siły, ofiarujące, jak dotąd, bezpłatnie, swój czas, pracę i talenty.

Ideą kierowniczką tego wędrownego teatru i jej entuzjastycznych współpracowników jest podniesienie kulturalne najuboższych warstw ludności miejskiej przez wszechpotężne działanie sztuki. Dotrzeć do ich dusz, wstrząsnąć niemi, otworzyć na piękno oczy, przemęczone jednostajną pracą codzienną i klejące się od nudy dręczycielki, uczynić je współposiadaczami najświetniejszych skarbów kultury polskiej i ogólnoludzkiej, podnieść, rozbudzić,

odwrócić od rozrywek poniżających i szkodliwych. Idea wspaniała...!

— Ale — mówi p. Wysocka—ja wiem, na podstawie moich dawnych kijowskich doświadczeń, że do tych ludzi teatr musi przyjść, przyjść musi na ich terytorjum. Do teatrów w śródmieściu publiczności tej się nie ściągnie. Odstraszy ją wspaniałość strojów, na których tle zbyt smutno i upokarzająco wyglądałyby ich wytarte marynarki i ubogie sukienki, odstraszy wysokość cen, i t. d. Tam czują się u siebie i wśród swoich. Tam, to zupełnie co innego.

— A jakże reagowali słuchacze z Ochoty na czar poezji Słowackiego?

— Byłam nadzwyczajnie ciekawa sama, jak reagować będą. I doprawdy, nigdy chyba nie mieliśmy widowni bardziej przejętej, bardziej zasluchanej.

Na pierwszych przedstawieniach cisza była taka, jakiej niema nigdy w teatrze dla „kulturalnej“ publiczności i.

Później, ponieważ byli tacy, co zjawiali się na każde z pięciu przedstawień, współdziałanie ich z artystami wyrażać się zaczęło w różnych okrzykach, malujących ich sympatję, lub antypatję do postaci dzieła. Gdy np. Kirkor mówi: „kareta czeka, po księdza pojedzie“, głos z widowni odzywa się: „Nie warto, ora siostrę zabiła!“.

Pocziwego Kirkora żal się zrobiło pocziwemu słuchaczowi, że zawiera tak niefortunne małżeństwo...

Żeby nie zrażać przychodzącej do teatru publiczności—ciągnęła dalej artystka, wpuszczaliśmy ją, jak na kino, w środku przedstawienia, a przedstawień dawaliśmy po dwa zrzędu.

Charakterystyczne były potem zwroty niektórych osób z pośród publiczności do przedsiębiorcy kinowego. „Czemu to pan takich rzeczy nam nie pokazujesz, a nie te różne „świństwa“?!“

— Miał słuszność — przyznaję — karmimy lud zgniłą plewą, odpadkami kultury.

— A tak, właśnie i zmuszamy go, by niezbędny dla każdej psychiki czar uludy brał z szynku. Przyznać muszę jednak, że gdy na przedstawieniach popołudniowych publiczność podmiejska zachowywała się w sposób godny najwyższego uznania, to już wieczorem, w duchowej atmosferze widowni dawało się wyczuwać pierwiastki alkoholicznego zatrucia. Część była takich, którzy już „po kieliszku“ przyszedli do teatru.

— Czy Pani sądzi, że „Balladyna“ zostawi trwały ślad w duszach słuchaczy?

— Może u jednostek wyjątkowych. Na ogólnie. Mój Boże, cóż znaczy kilka przedstawień? Niech



mi dadzą odpowiedni lokal, niech powiedzą: tu masz pracować przez dwa lata np., wtedy będę wiedziała, że moja praca na coś się przyda, wtedy pierwiastki kultury przenikną do dusz... ale tak... jest to próba tylko...

— Czy Rząd nie pośpieszy z pomocą?

— Nie wiem. Będziemy się starali. Ale czynniki, od których to zależy, nie doceniają naszej akcji. U nas nie rozumie się jeszcze, jaką potęgą jest sugestia sztuki, jakim narzędziem propagandy i agitacji może być teatr, kino, koncert. Zrozumiał to niestety rząd sowieński i zaprzęgnął sztukę do wozu swojej propagandy. U nas wolą ludzie wydawać miliony na widowiska dla paskarzy, lekceważone zresztą przez nich, o ile wspaniałością wystawy i różnemi innymi środkami nie podniecająco na ich wulgarne upodobania, niż wydać znacznie mniejsze sumy na teatr dla ludu, któryby po przedmieściach i małych miasteczkach, a może i po wsiach czarem sztuki zwoływał dusze do wyższego, szlachetniejszego życia. A jest we mnie — kończy artystka — jest we mnie jakiś głęboki



lęk przed przyszłością... jest we mnie lęk przed, utajoną w każdej duszy ludzkiej, bestją...

Było to powiedziane z akcentem, jaki tylko wielka artystka słowem swoim nadać umie, ale płynęło z głębi przekonania.

Zrozumiałam, że czarodziejstwem sztuki, chcą ci ludzie zakląć złe siły, nurtujące pod powierzchnią błyskotliwego życia Warszawy.

Może wyzwanie to zrozumiały żywioty, zostające na usługach owych rozkładowych mocy, bo afisze „Rybałta“, rozlepione na Ochocie, były systematycznie i ze szczególną zawziętością zdzierane, do ostatniego strzępka.

— Cóż dalej? — pytam p. Wysocką.

— Nie wiem jeszcze; prowadzimy pertraktacje ze szkołami, z Podchorążówką, ale długo wytrwać tak nie będzie można.

Artyści na stałe darmo pracować nie mogą.

I oto zwracamy się z pytaniem tem do was czytelnicy?

Czy nikt szlachetnej i mądrej inicjatywy wielkiej artystki nie poprze?

H. C.

## O BIAŁCE MAZURSKIEJ

Jeżeli lud mazurski od 600 lat osiadły w obrębie Prus Wschodnich po dzień dzisiejszy przechował język przodków — gadkę mazurską — nie wyżył się tradycją i zwyczajów, jest to bezwątpienia zasługą kobiety mazurskiej, zwanej białką, czyli białogłową.

Cicha, pracowita, poświęcająca się, pełna pokory chrześcijańskiej w biegu dziejów i kultury nie wysuwała się na czoło. W historii Mazur, czy piśmiennictwie nie zanotowano ani jednego imienia niewieściego. Skromna — była jednak pomocą swego ojca, męża, brata, lub syna, była jego doradczynią i kierowniczką.

W dobie ostatniej, w okresie wzmożonej germanizacji, mającej na celu zmiecenie z ziemi Mazurów wszystkiego, co tchnie polskością, kobieta mazurka ostała się burzom. Gadka macierzysta — jak w krainie jezior i moczarów nazywają powszechnie narzecze mazurskie, mowę przodków — wyparta ze szkoły, częściowo ze świąt, ocalała przy ognisku domowym.

Mężczyzna prędzej zatracił swe cechy plebienne: służba wojskowa, potem emigracja dla chleba na zachód, do „grób“ czyli kopalni westfal-

skich w znacznym stopniu wynarodowiły mazura. Wielką tedy, jeżeli nie wyłączną zasługą matki — mazurki jest, że dziatwa, idąca do szkół pruskich, mówi po polsku, czyli po mazursku, a nieraz wcale nie zna języka urzędowego. Wszakże niedawno, bo przed półtora rokiem zaledwie nauczyciel Ruchatz w odezwie, zamieszczonej w królewieckim piśmie nauczycielskim „Lehrerzeitung“ podkreślił, że liczba dziatwy, mówiącej po mazursku wynosi 80 procent ogółu dzieci, 50 zaś procent nie zna wcale niemieckiej mowy.

Swiatem mazurki — jest jej chata, jej rodzina, żywinka i zagroda. Dziś w wioskach odległych od ośrodków pruskiej kultury, miast, tam, gdzie wojna ostatnia spustoszeń nie poczyniła, pod słomianą strzechą, pod belkowym pułapem, przedzie len, lub wełnę stara męczka mazurska. Pomarszczone jej lice — wiele przecierpiała, wiele łez wylała... Wojna wydarła jej synaczków ukochanych. Miłość rodzicielska głęboka i tkliwa jest jedną z cech szerepu mazurskiego.

Przędąc kądziel, przypomina sobie białka mazurska zasłyszane w młodości piosenki, przysłowia i klechdy, prawi je dziatkom, czy wnukom swoim,



które nie zawsze jednak słuchać pragną... Młode, najmłodsze pokolenia bowiem pod silnym wpływem szkoły, kościoła, związków świeckich, czy religijnych często zrywa węzły, łączące je z przeszłością.

Czarno odziana, w czarnej, frendzlą obszytej, chustce na głowie, idzie mazurka w niedzielę do świątynicy, dzierżąc w spracowanej dłoni stary kancjonał, śpiewnik w polskim języku gotyckimi czcionkami tłoczony. Krakowskim szryftem nazywa lud to pismo na pamiątkę pierwszego drukarza mazurskiego, Malecusa, z Krakowa w pierwszej połowie XVI w. przybyłego.

Z naiwną szczerością poczucia religijnego słucha ona kazania, najczęściej słabą polszczyzną i to nie wszędzie już wygłaszanego. Modli się gorąco; wyznanie wiary i Ojciec nasz mazurka—ewangeliczka (mazurzy wyznania ewangelickiego stanowią przeszło 90 procent ludności mazurskiej) powtarza klęcząc, całuje śpiewnik przed rozwarciem go i zamknięciem, oraz przy każdorazowym użyciu, zwłaszcza jeżeli przez nieostrożność spadł jej na ziemię, żegna się krzyżem. Bije się niekiedy w piersi—są to pozostałości z czasów przedreformacyjnych. Z tych odległych wieków panowania katolicyzmu na Mazowszu pruskim pozostała jej we krwi skłonność do ślubowań i ofiarowań.

Ślubnie białka mazurska w chorobach i innych krytycznych okolicznościach, pości w pewne dni za wyzdrowienie, lub wybawienie, co piątek podczas postu uczęszcza do świątynicy, lub składa ofiary. W młodości jako „dziewczak” ślubowała zapewne powstrzymanie się od noszenia pewnych barw jaskrawych—może czerwonej—na taką, czy inną intencję.

Szczególnie często ślubują mazurki, że nie będą pracować w dni apostołów, w Przemienienie Pańskie, w dni Bogarodzicy. Zdarza się jeszcze dziś, co dawniej często bywało, że niewiasta przynosi ofiarę do trzech kościołów jednocześnie, zazwyczaj do dwóch ewangelickich i jednego katolickiego—aby powodzenie pewniejsze było—celem wymodlenia sobie łaski jakowejś.

Kiedy w ubiegłym stuleciu rozpoczęło się rugowanie języka macierzystego z kościołów mazurskich, białka pierwsza zaprotestowała. W chałupach gromadzić zaczęto wiernych dla wspólnej modlitwy, czytania pisma Św. i postylli Dambrowskiego. Miejsce księdza zastąpił domorosły kaznodzieja, mówca z bożej łaski, niekiedy bardzo elokwentny. Zdarza się często, zwłaszcza w ostatnich czasach, że niewiasta biegła w piśmie Św. czyta, tłumaczy, odprawia modły niedzielne dla tych braci i siostr w Chrystusie, którzy niechętnie słuchają niemieckiej mowy. Tak powstała sekta „Gromadkarzy”, o wysokim poczuciu etyki, czuwających bacznie nad moralnością wszystkich, należących do zgromadzenia (palenie tytoniu, używanie alkoholu jest niedopuszczalne).

Od dwóch mniej więcej pokoleń w czerń odziewa się mazurska niewiasta. Dziewczęta noszą strój miejski. Dawne ubiory zaginęły. Stare babki pamiętają jeszcze, jak się ich matki, czy „grózkki” (babki) w święto stroiły. Na zachodzie między innymi w Działdowszczyźnie stanik gładki z długimi rękawami, obszytymi białymi mankietami, z gęsto namarszczoną spódnica tworzył całość, uszyty z samodziału w pasy różnokolorowe, niezbyt szerokie, o larwach szarmonii-

zowanych. Fartuch w poprzeczne pasy. Na głowie, pokrytej białym czepkiem, zawiązywano chustkę jedwabną zieloną i czerwoną „koroną” niezwykle misternie w ten sposób, żeby dwa rogi nad czołem sterczały. „Rogatemi grózkami” nazywały dziewczki swoje babulki. Na szyi zawieszano bursztyny, rzadziej korale.

Na wschodzie, w powiecie łeckim, jańsborskim i w innych używana była kiecka marszczona w prążki, (podobnie jak pasiaki kurpiowskie), bluzka biała z długimi rękawami; chustka „nie jedwabna”, haftowana ręcznie, zakrywała plecy, ramiona i piersi. Na głowie czepek biały, zawiązany pod brodę, fartuch jasny w prążki. Hafty ręczne „mocno” były rozpowszechnione.

Dziewczaki dziś chętnie noszą spódnice i staniki „kрасne”. Dawniej spódniczkę jasno zielonego jaskrawego koloru nazywano różnobarwnymi pasami poprzecznie. Na białej bluzce nosiło dziewczę chustkę o barwach czerwono-zielonych. Chustki zawiązywały na głowie pod brodą. W chatkach znaleźć można jeszcze gdzieś resztki starych spódnic samodziałowych. Nieraz są to kraty dość drobne czerwono-zielone, t. zw. okienka, czy szybki, począłści jednak pasiaki własnego farbowania: czarno pomarańczowe (osnowa biała), kasztanowo szafrówoburaczkowo-czarne, czerwono-granatowo-kremowe

Grózka tańcowała z takim zapałem i werwą, że „kiecką światło u pułapu gasiła”—powiadają mazurki.

Jako dziewczak, niekiedy płochą bywała białka, wspominają o tem liczne piosenki ludowe, począłściwa jednak, zbyt ufająca, niekiedy padała ofiarą jakiegoś przybłądy. Przy ślubie starała się nastąpić oblubieńcowi swemu na nogę, przykleknąć na jego ubraniu, przy ujmowaniu za rękę podczas przysięgi, kładła swoją rękę na wierchu—aby panować nad mężem. Jako żona jednak była i jest wzorem. Powiadają zdawna, że:

„Niech się dowie świat nasz cały,  
Żonki u nas pełne chwały.  
Ten jest pobłogosławiony,  
Kto w Mazurach znalazł żony”.

Niezawsze wie mazurka o pochodzeniu swem, najczęściej o dawnej ojczyźnie, tuż za kordonem leżącym Mazowszu, nie ma prawie pojęcia—zachowała jednak podświadczenie przywiązanie do wyniesionych stamtąd tradycji. Rada gościowi, choć nie zawsze ufająca przybyszowi—nauczyło ją wiekowe doświadczenie—podejmuje go, jak na Słowiankę przystało, bez poczęstunku z chaty nie wypuści. Wierzy ona w uroki i czary, nieraz sama, dar ten posiadając, umie zażegnawać, wierzy niekiedy w kołboga, jakoweś strącone bóstwo prasłowiańskie, które dostarcza skarbów, potwór skrzydlaty o lśniącym ognie, mieszkający na strychu, wierzy, słyszała bowiem wiele o pokutujących duszach umarłych, o topielcach i świetlnikach, które wabiąc przechodnia, wciągają go w bagniska i moczary.

Tej skromnej, drobnej, łagodnej i dobrej, acz smutkiem owianej, prostaczej matki, wstydzi się niekiedy cywilizowany „w szerokim” świecie pruskim syn, śmieje się z jej zacofania córka „po niemiecku bildowana”. Istnieje piosenka, w której przestrzega się „młodziaka” Mazura: „Nie bierz żony bildowanej, po niemiecku nauczonej...”



Pod wpływem kultury pruskiej zarzucono tkanie samodziałów. Zamiłowanie jednak do tkactwa przetrwało. Celem wskrzeszenia mazurskiego przemysłu ludowego założono przed rokiem w Działdowie kursy kilimkarstwa. Młodziutki dziewczęta mazurskie same tworzyć poczynają wzory, dobierają barw własnym instynktem wiedzione, czynią w tym kierunku duże postępy. Charakterystycznym jest, że najlepiej wypadają jak dotąd kilimy, w których przeważają barwy narodowe mazurskie — czerwono-zielone.

Pracownia kilimów wzbudziła zainteresowanie w powiecie. W licznych chałupach ustawiono na nowo krosna, dawno na strych wyrzucone. Starsze niewiasty wróciły do wyrobu płócien.

Kobieta wiele zdziałać może na Mazurach. Od jakiegoś czasu germanizacja szczepiona bywa skuteczniej przez diakonise, często rekrutujące się z pośród mazurek, wychowanych w duchu pruskohakatystycznym. Taka apostołka, powracająca do rodzinnej wsi jako pielegniarka, opiekunka chorych, działwy, zaskarbia sobie zaufanie ludności wioski.

W powiecie działdowskim diakonise Niemki bądź polskie, bądź gdańskie, posiadające obywatelstwo, wychowanki przeważnie diakonatu w Więcborku na Pomorzu są istotną plagą. Z bibliją i elementarzem niemieckim wnosi ta czarna siostra ducha pruskiego pod strzechy mazurskie...

To też jednym z doniosłych zadań na terenie Działdowszczyzny przedewszystkiem jest powstrzymanie dziewcząt mazurskich od wstąpienia do niemieckich diakonatów, a zjednanie ich dla podobnej instytucji w Warszawie, lub Cieszynie — co już zapoczątkowane zostało. Uświadomione narodowo Mazurki-diakonise z czasem naprawić mogą to, co przez długie lat dziesiątki niszczone było.

Niemniej ważną kwestją byłoby założenie w Działdowie szkoły gospodarczej dla dziewcząt, ażeby powstrzymać od wyjazdu za kordon córki zamniejszych gburów (gspodarzy).

Jeżeli zdobędziemy dla Polski dziewczynę mazurską, oczekiwać możemy odrodzenia mazurów.

Emilja Sukertowa

MARVA-JEHANNE WIELOPOLSKA

## CZTEROKOLOROWE GODZINY

(Autoprzeład z francuskiego)

Motto:

W żadnej godzinie i na żaden sposób nie będzie to wyznaniem miłosnem.

### I. PORANKI

ONA: lat 16.

ON: lat 50.

ONA (*naiwnie*) Moje serce jest za kruche, aby się nie miało zatrwożyć w obliczu twojej przeszłości - - -

przepastnej poza mną - - -

nieokreślonej, skoro mnie w niej niema - - -

nieosobowej, skoro siebie w niej nie znajduję.

ON (*obejmuje ją, ślepy i szalony*) a jednak cię znalazłem — dziewczynko — dziewczynko!

### II. POŁUDNIA

ONA: lat 25.

ON: lat 27.

ONA (*w uniesieniu, prawie twardo*) Moje serce za obszerne, za silne, zanadto pełne tego, co je otacza, aby miało kochać ciebie tylko jednego - - -

ON (*całuje jej usta czerwone, w osłupieniu*) Więc - - - !?

### III. WIECZORY

ONA: lat 40.

ON: lat 20.

ONA (*w cichem natężeniu*) Serce moje wzdraga się przeciw śmieszności - - -

serce moje nazbyt jest zmęczone, aby cię mogło miłować, mój Miły - - -

ale, kiedyś, kiedy nareszcie zwyciężę serce moje, przyjdę do ciebie - - -

milcząco, nieznacznie, ucałuję twoje oczy i - - - zostaniemy przyjaciółmi.

Chcesz?

ON (*uśmiecha się bez słowa, uprzejmy i uległy*).

### IV. NOCE

Och sny nasze!

napoje nasze, pełne złudy - - -

fantastyczne gmachy, nie dające się zmierzyć - - -

powieki nasze, zamknięte na cały jeden świat przemijający, odbielony, odróżowiony, odbłękitniony, odzłocony - - -

na całe jedno szaleńcze życie na odlew!!!!!!





Z CYKLU „ŚMIECIUSZKI“

FELICJA KRUSZEWSKA.

## Wstęp

*Kiedy się ktoś malutki w wielkim życiu zgubi,  
nic go już nie zajmuje, niczego nie lubi.*

*Kiedy mu się coś w myślach i głowie popsuje,  
czuje na sobie skórę, a duszy nie czuje,*

*niczego nie odbiera, niczego nie daje —  
stos mu jeszcze zabawek miłych pozostaje:*

*Stare lalki, kolorowe szmatki,  
złote blaszki, potargane kwiatki,  
ciepłe lezki, dmuchawcowe puszki,  
śmieci, śmieci, śmieci i śmieciuszki.*

## Przebudzenie

*Niebo jest jak gąbka wielka, szara,  
ręką wiatru z deszczu wyciśnięta.  
Obudziłam się zupełnie stara,  
zła, nijaka, smutna i zmarznięta.*

*Chłód zdjął szybko czar z ciepłych poduszek,  
przepłynęła snu różowa fala.  
Obowlązek, zły, nudny staruszek  
małą, ślepą łatarkę zapala.*

*Idzie, stęka, latareczką kiwa,  
tu i tędy skacze drobny płomień.  
Pewno nigdy nie spłone, szczęśliwie,  
w krwawym ogniu wielkich oszołomleń.*

## Zmęczenie

(Bajeczka)

*Chodzi sobie ciche Znużenie,  
chodzi sobie szare Zmęczenie  
wszędzie drzwi ma, wszędzie drogę otwartą.*

*Mruczy sobie krótką gadeczkę,  
nuci sobie cichą piosneczkę,  
jedno słowo, dwa słowa: nie warto.*

*Szare nici, lepkie nici snuje,  
plącze sieć, plącze, oplątuje,  
robi swoją nietrudną robotę.*

*Łowi sobie siły dla igraszki,  
łowi piosnki kolorowe ptaszki,  
łowi myśli latarenki złote.*

*Siły słodko usypia, okrywa,  
ptaszkom piosnkom skrzydełka obrywa,  
gasi myśli złote latarenki.*

*Zwojowało mnie ciche Znużenie,  
pokonało mnie szare Zmęczenie,  
wzięło siły, myśli i piosenki.*

## Śmierć wśród lalek

*Kiedym leżąc na łóżku cicho umierała,  
Konsuelka ręce zatamala,  
głośno, z krzykiem, jak dziecko płakała.*

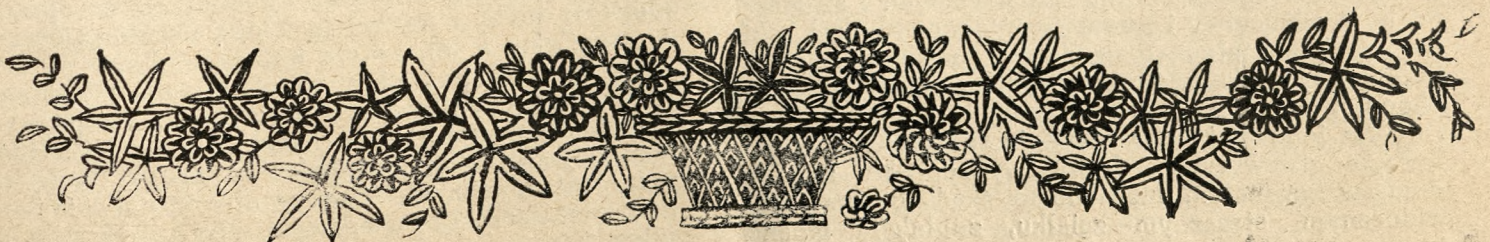
*Karapuzik malusieńki i blade,  
splątał, zmylił jakieś długie tyrady —  
Niema rady. Niema żadnej rady.*

*Zawodziły w wielkim smutku i biedzie  
oba wierne pluszowe niedźwiedzie.  
Zabiorą ją wywiozą — nigdy już nie przyjedzie.*

*Gruby Piotruś w czerwonej sukience  
na okrągłym brzuszku składał ręce.  
Sami jesteśmy, sami — w takiej okropnej mące.*

*Tom, murzynek czarniuteńki, jak smoła  
okrągłymi ślepkami patrzył na nich dokoła.  
Spójrzcie, jak się uśmiecha, jaka jest dziś wesola.*

*Tylko Morton nawet się nie zdumiał,  
jakby wszystko oddawna rozumiał.  
Ani płakać, ani śmiać się nie umiał.*





TERESA SAPIEŻYNA

## W E M G L E

(Fragment niewydanej powieści)



dy Hanka obudziła się koło południa, fog panował czysto londyński. Dziwna cisza wisiała w powietrzu, tajemnicza żółtość królowała wszędzie i coś drapało w gardle, jak dym. Podeszła do okna i podniosła roletę, ale zdawało się przytem, że nie odkrywa ona niczego, a tajemnicza żółta płachta w dalszym ciągu zasłaniała świat. Coś jakby lek odczuła, zwłaszcza, gdy podniósłszy wzrok, ujrzała w żółtem morzu zawieszony w biały dzień jaskrawo pomarańczowy księżyc. Po chwili dopiero zdała sobie sprawę, że to słońce za mgłą, podobne do krągłego kawałka sera. Pozatem nie było nic widać, ani domów, ani kominów, ani ulicy, tylko w dole znaczyły się w gęstej atmosferze jasne plamy pozapalanych latarni i sunące światła samochodów i omnibusów.

Ubrała się prędko — ciągnęło ją coś nieprzyparcie, by pójść w tę mgłę, puścić się w tego nieznanego, mgłą okutanego olbrzyma — miasto i sunące tam niepostrzeżenie, jak duch. Zjadła lunch w hall'u hotelowym, wielkiej sali, pełnej stolików, palm i różnych zielonych roślin, w której tak, jak na ulicy, królował również fog, owijając się jasnymi plamami wokoło niezliczonych światła; — tu z jednego końca na drugi nie rozróżniało się siedzących ludzi — głosy tylko matowo zgiełkliwe rozbrzmiewały we mgle i o ściany tłukł się łoskotliwy szcęk naczyń i widelców.

Po wypiciu filiżanki gorącej, mocnej, pysznej mokka, wyszła na ulicę i zdążyła do Piccadilly, ostrożnie i cicho, jak gdyby nie chcąc mącić tej wszystkiemu owładającej tajemnicy, walącej wdół kłębamii mgły. Ludzie wyłaniali się z niej, spowici złotym odcieniem niewidzialnych promieni tego słońca, które w górze trwało, podobne do sera, a które jednak całej tej rzeczy owładającej powietrzem nadawało ów ciepły ton, tak że twarze zdawały się piękniejsze, niż zwykle, a skóra dziwnie ciepła i ładna. Najcudniej wyglądały drzewa, owe platany, wiązy i buki, wzrostem i postawą, odznaczające się na angielskiej ziemi i cieszące oczy przechodniów na typowych londyńskich skwerach. W kaskadach gałęzi zwisały bez ruchu wdół, spowite w złoty puch mgły, wysuwając się delikatną rzeźbą z miękkiego tła.

Hanka szła powoli wzdłuż murów, by nie zmylić drogi. Minęła Piccadilly z rzęsiście oświetlonymi wejściami pierwszorzędných hoteli, restauracyj, teatrów i sklepów, wszystko to jakby w świetle duchów, przecięte nieprzerwanym szumem czarnych pudeł samochodów, idących ulicą krok za krokiem, a przerywających względna ciszę ciągłym beczaniem trąbek. Z trudem wyszukać można było policeman'a, stojącego na środku ulicy i powstrzymującego ruchem ręki owo ruchome, płynące we dwie strony morze wózków, aby przepuścić czekających na przejście przechodniów.

Na jednym takim przejściu tuż przy sobie zobaczyła dziewczynkę, która wywróciwszy się jak długa w tym całym niewiadomo skąd idącym, niewidocznym, strasznym zgiełku, zapłakała głośno

i uchwyciła się jej sukni w obłądnym strachu. Pomógłszy jej wstać, oddała ją w ręce przerażonej matki i szła dalej ze zmniejszoną radością wczuwania się w tajemniczość nieznanego sobie obrazu. Uczuła się bezdennie samą w tym ogromie. Doznała takiej potrzeby kogoś bliskiego, kogoś życzliwego, że zakreśliła na miejscu i udała się w boczną ulicę do dobrej swej znajomej, Lady Bevan.

„A co? fog? jak ci się podoba?“ spytała Lady Bevan, gdy weszła do jej salonu.

„Właściwie śliczne — a właściwie straszne. W gardle mnie już dusi. — Czy to długo potrwa?“

„Może kilka godzin, a może kilka dni. Zobaczysz, jak wnet dusić się zaczniesz — wezmę cię wtedy chyba za miasto, bo tam napewno pogoda. Nie lubię tego, dławi mię to i migreny dostaje.“

„A to najstraszniejsze, że uciec przed tem nie można. Wszędzie jest... i w pokoju, i w szafie z sukniemi, i w łóżku pod kołdrą... właściwie paskudstwo.“

„No czekaj. Na pociechę dam ci „a good cup of hot'tea“, a potem pojedziemy do Paquin; mam tam suknię do przymierzenia na przyjęcie królewskie — istny cud.“

Po chwili sunęły pięknym, poważnym samochodem Lady Bevan w miękkie poduszki wtulone, ogarnięte przepychem, niewidzialne w tej mgle, a wyczuwające się same ciepłem tego przepychu.

Potem mierzenie sukni, bieganie usługujących pań, poważny przegląd ślicznych manekinów, lubieżnie noszących na smukłych ciałach lśniące, kuszące modele; przewracanie kosztownych tkanin i koronek, szelest wybieranych cacek na ozdoby, ta atmosfera, przepojona zbytkiem, unosi Hankę w jakiś gorączkowy świat pożądań bez nazwy. Myśli płyną, niespokojnie rozbudzone. Wreszcie czas wracać do domu, Lady Bevan jeszcze wciąż tonie w ważnych konferencjach nad ową suknią, jak cud — więc Hankę samochód ma odwieźć samą do hotelu. Schodzi po miękkich, dywanem wysłanych, schodach tego przybytku niewieścich rozkoszy i staje na chodniku, czekając na samochód, którego szuka wygalonowany portjer.

Nagle oczy jej uderza obraz straszny — zgrozy ohydnej pełen i smagaj tego, jak biczem, wstydu. Oto, wyłaniając się powoli z żółtej mgły, zbliżają się do niej majestatycznie dwaj czarni i poważni policmeni i wloką coś między sobą.

Co to jest?

Co to jest, na Boga?

Rozszerzone strachem źrenice biorą w siebie, w to rozedrgane i upojone przepychem wnętrze, wstrząsający obraz kobiety, ohydnej w swem opuszczeniu. Oto idzie, a raczej ją wloką na ślaniających się nogach; głowa jej, zwisa bezsilnie, dynda się w pijanym bezwładzie... sine wargi miamlą jakieś słowa, razem z śliną, płynącą po brodzie... po piersiach... po rozchełstanej bluzce. Niżej... opada jej spódnica, płacze się pod nozami, które deptając, ściągają ją coraz niżej, niżej... O Boże, za chwilę spadnie na ziemię i straszne, ohydne, nagie nogi ukażą się oczom ulicy.



Sponiewierana godność człowieka z tej postaci, wleczonej oto silnymi rękami przedstawicieli ludzkiej władzy i sprawiedliwości, woła do HANKI tak straszną zgrozą, że chciałaby krzyknąć głośno, pytać, jakim prawem ta kobieta upadła tak nisko? jakim prawem wloką ją tak bezlitośnie... jakim prawem godność ludzka i kobieca tak niemiłosiernie deptana być może tu, w obliczu tego przepychu — tej świetności.

A ona sama?

Ha, ha, ha. Dzioki śmiech ją chwyta.

Oto ma iść mierzyć cudne złote suknie, pachnące szaty kłaść na czyste, wonne ciało zdala od brudu, od zła — od nędzy... a ta kobieta będzie konać z bólu w szponach wódki za jakieś krzywdy bezdomnego dzieciństwa, rymsztokowego zepsucia, w którym niema litości, niema dobroci, jeno kajdany życia w pijackich wrzaskach mężowskich przekleństw, w zimnych mękach bezsennych nocy przy barłogu konających dzieci, nędzy życia bez dzisiaj, bez jutra, a w końcu twarda ręka sprawiedliwości, nie patrzącej w ból, w nędzę, ni w krzywdę, a bezlitośnie wiodącą oł tu przez tłum na pośmiewisko, na hańbę człowieczeństwa.

Za chwilę opadnie spódnica; wyjdą nogi, nagie nogi... a oni pójdą dalej, ci dwaj czarni, spokojni i ciągnąc ją będą, tę nędzę pijaną.

Hanka rozrywa futro na szyi, łyzy gniewu, czy wstydu tryskają z oczu, już chce krzyknąć, że oddaje wszystko... niech zabiorą te futra... te suknie... ostatni grosz, ale niech tak nie będzie, niech tamtej nie wiodą tak na hańbę... na wstyd.

Ale ktoś pod rękę ją chwyta z szacunkiem, z ukłonem... i słyszy słowa: „Your car, Miss dy...” Przerazone, łzami zalane jej oczy, trafiają na skamieniałą w powadze swego zawodu twarz wygalowanego portjera, który już ją wtłacza do samochodu... prędko, prędko, bo setka innych na swą kolej czeka... Drzwiczki zatrzęsnięto... ruszyli.

Hanka chce się rzucić ku drzwiczkom, ale już nie widzi nic w tej potwornej, żółtej, wszystko okrywającej, ruchomej masie... Ta trójka tam gdzieś... we fogu... w niewidzialnym tłumie miłosiernie zakryta.

Opadła w kąt samochodu z burzą okropną w duszy.

Więc to jest porządek życia?

Tu przepych, bogactwo bez miary, a więc łatwość tego, co dobre, czyste, piękne; dzieci hodowane troskliwie, by nie dotknęły zła, ludzie mogący

się brzydzić złem... a tam? wychowanie w brudzie, w nędzy, w zgorzeniu.

Kto może zgadnąć, jakie morze nieszczęść rzuciło tę kobietę w upadek pijaństwa? a teraz już dla niej tylko bezlitosna ręka sądu, wiodąca do więzienia. I nic, nic nie pomoże.

Choćbym oddała wszystko, do ostatniej koszuli rozdała wszystko, nie pomoże nic, bo takich jest tysiące, bo taki jest porządek świata... tak było i będzie mimo wszystkie szamotania się utopijne — tak postanowił Bóg!

Czyż może istnieć Bóg, któryby na to patrzył spokojnie? Nie, chyba niema Boga na niebie!

Hanka bluźni: czuje to wyraźnie, ale ból i bunt nią miota.

I choćbym wszystko rozdała, nie pomogę nic... to straszne.

I śmieszne... i podłe.

I jadzie dalej w cichym samochodzie, w ślicznych sukniach do pysznego domu, a tamtą pewnie teraz, w tej chwili, na tej fogiem opanowanej ulicy, naga już, wloką dalej.

Hanka na poduszkach leży w poprzek i łka, gardząc wszystkim na świecie i sobą, i ludźmi, i tą wojną niby wielką, temi przewrotami, na które targnęły się narody prerafinowane i do szpiku kości zepsute cywilizacją płytką i sztuczną, które niczego nie przewróciły, żadnych błogosławionych zmian w ludzkości nie dokonały, tylko jeszcze więcej egotyzmów wydobły, jeszcze więcej brutalnych pchnięć zadały. I łka nad swą własną słabością, że mimo te swe wewnętrzne zrozumienie cnych zagadnień bezlitosnych, jedzie dalej samochodem... że nie rzuciła się tam między tłum ratować nieszczęsną zbrodniarkę.

I na co?

Na to, by pijane jej oczy cisnęły w nią wzgardę za jej bogactwo, za jej rzucające się w oczy piękno?

Wreszcie rozpacz beznadziejna zamienia ją w kamień — że do wieczora na wszystko nieczuła i obojętna depcze tylko w sobie wzgardę bez końca.

A na ulicach mgła, z początku coraz gęstsza i bardziej mętna, aż dopiero w nocy, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, znikła bezgłośnie, zostawiając za sobą przeczyste powietrze i niebo usiane miliardami gwiazd. Hanka, stanąwszy w oknie, piła czyste powietrze całymi płucami — i czuła, jak schodzi ku niej anioł pocieszenia pod postacią jednej tajemnej, a już zupełnie pewnej siebie myśli:

Oto wiem, że ja przebaczę.

MARJA KUNCEWICZOWA

## JEDNO SPOJRZENIE

(Szkic powieściowy).

Czego nie wyrzeźbił wiatr, nie wysiepał ze siebie deszcz, czego róża nie zdołała wyrazić zapachem, ani jaskółka przebić pierśią, cała soczystość gałęzi i blask złotej kałuży — wszystko było zamknięte w oczach Henryka. Doznałam wielkiego szczęścia. Ktoś biegł od strony czworaków, chlapiąc butami po wodzie — Jędrak stajenny pędził na wioskę do kowala.

Ruszyliśmy ku drzwiom od jadalni. Wyciągnęłam rękę do kłamki i zobaczyłam dopiero wtedy za szybą twarz Krystyny. Twarz małą, srogą i razem żalną. Obledała mnie fala ognia — coś, niby wstyd, a potem stanęłam w strachu, jak w zimnem prześcieradle. „Ziębłś, Jadwisiu, — powiedziała Krystyna, — Chodź ułożyć owoce“...



W początku września pożegnaliśmy z matką Sitaniec. W kilka tygodni później pojechałam sama do Krakowa na uniwersytet. Tam dopiero zaczęła się moja młodość. Wybuchła, jak źródło z gruntu napozór błotnistego — z polityki. Ktoś znajomy wciągnął mnie do koła niepodległościowej młodzieży. Poszłam niechętnie do obskurnego domu. A po tygodniu już odmieniły się do gruntu paryskie gusty i obyczaje. Chemia spadła znowu do worka z balastem; tenis wydał się zabawą bez smaku, kooperacja — Mekką krasnoludków. Świat duży, prawdziwy, wart zmęczenia i gniewu, ognisko niegasnącej uciechy, wyrósł w lokalu „Znicza”. Opętał mnie nie gorzej od niejednych oczu wschodni iście powab konspiracji. Ze zgrozą, z łoskotem serca i suchemi od ciekawości wargami, poddawałam się coraz nowym rygorom i wtajemniczeniom. Cel samomonstrualnie wielki — urzekął, niby okularnik. Ale nade wszystko czarujące prowadziły doń drogi. Drogi — niewiadome gawiedzi, podziemne korytarze podobne żyłom, które chronią krew i ciepło narodu. Jakże soczyste, jakże pełne były deszczowe popołudnia, kiedy w pokoju sinym od dymu siadywałam w kilkoro przy biurku — gdzie więcej widziałeś dziur, niż sukna — zagłębieni w „zasadniczej dyskusji”. Wchodził zmoknięty chłopak i twarze natychmiast improwizowały komedię dell'arte: jeden wsuwał nos w gazetę, drugi z rozmarzonym wzrokiem zaczynał na bibule mazać monogram, a jeszcze inni rzucali się ku sobie gestem zakochanych. Przybysz — biedne niewiniątko — stąpił lekkomyślnie po krulej warstwie tajemnicy, ani czując, że pod nogami ma odmet. (Ja zato nie ustawałam w syceniu się tą świadomością, pożywną, jak owoce). Napływało ludzi, intensywna atmosfera konspiracji rzedła za każdym podmuchem ode drzwi; wśród „członków” — „nasi koledzy” trwali, niby skały wśród Dniepru. Patrzyłam na nich z bezradnością kaczęcia i z przyjaźnią czajki. Doprawdy trudnoby mi przyszło wybierać się wtedy „za morze”. Żadne miasto nie weszło we mnie tak pieściwie, tak razem zawrotnie — rzekłbyś fala białego zapachu — jak ten Kraków uniwersytecki. Domy, ludzie, dzwony, polityka, Wola Justowska, „wyrobione niewiasty”, parasole przekupek na Małym Rynku, mięciutkie słowo „dziwczynka”, woźny Aleksander w bibliotece i pelargonje na słupach — to były wszystko złote i fioletowe krople w ukochanym kielichu. Dogadzało mi, czego tylko dotknęłam — że świat cały, rzekłbyś, pieścił dwojgiem aksamitnych ramion. Zdarzały się noce — zwyczajne noce po zwyczajnym dniu — kiedy nie mogłam zamknąć oczu z obawy, by nie przespać takiego szczęścia.

Naturalnie z paryskich przewrotów został ślad ledwie znaczny. Fenomen miłości, półtora roku temu zjawiony moim szczenięcym oczom, już nie dręczył i nie oslepił — stanął skromnie w gromadzie cudów. O Henrykach zapomniałam. Jednak czasami na wykładzie, albo w jakiejś porze kłęb gorąca rozpalał mi piersi, błyskała jakaś szczelina, za którą widać było myśl: „Wtenczas na tarasie...” „A więc tamto spojrzenie”.

Na wiosnę mówiono już o mnie „nasz człowiek”. Rzeczywiście: zakochałam się nawet w prezესie. Mówił cicho i dobitnie, każde zdanie pieczętując wzrokiem. Miał manjery łascy, uśmiech gazeciarza z Warszawy i panieńskie ręce. Kokietował zarówno dziewczyny i chłopców. Cały „Znicz” dyszał uwielbieniem dla jego osoby, niczem ryba mdlejąca na piasku. Więcej licząc na zakochanych, niż na apo-

stolów, prezes uwodził zupełnie świadomie. Nieuchwytny i fascynujący, unosił się przed nami na kształt głosu Jehowy — w obłoku wysokich przeznaczeń. Swoje duszpasterstwo sprawował właśnie tej wiosny, kiedy po raz pierwszy wybiegłam z jej tła i stanęłam na tokowisku. Dzięki temu, miłość zagabnęła mnie delikatnie, nie czyniąc krzywdy uściśkiem. Prezesa widywałam w okolicznościach podniosłych, albo na spacerze. Mówiliśmy o sprawach „organizacyjnych”; rzadko — o muzyce. Z nieskończoną rozkoszą trwoniłam dla jego uśmiechu siłę, jaką we mnie włożyła wtedy młodość. Czucia moje oczywiście obrosły Kraków niby słup graniczny; dalej nie sięgało szczęście, ani smutek. Za to sprawy podwawelskie obchodziły dożywego.

Pod koniec maja umarła młoda aktorka, którą oplakałam, jak siostrę, choć zaledwie majaczył w myślach jej uśmiech sceniczny. Ta śmierć — mimo, że przedtem straciłam oboje dziadków i braciśzka — pierwsza dała mi uczuć chłód martwego ciała. Kiedyś widziałam Ellen w angielskiej sztuce — reżolutne, niebieskookie stworzenie. Pamiętam do dziś jej rączkę z papierosem, błędzącą, niby biała ćma, wkoło twarzy tak pełnej wdzięku, jak serce jest pełne krwi. Chodziła po nieprawdziwym salonie, mówiąc słowa pisarza od siebie (zupełnie od siebie) najprawdziwszym językiem kobiety. I aktor wodził za nią wzrokiem swoim własnym — naprawdę zakochany. Kiedy nasunął mi się przed oczy nekrolog, zanim żalność zdążyła mnie ogarnąć, poczułam zapach chryzantem, zmieszany z jakimś innym ostrym zapachem. „To śmierć tak pachnie” — uświadomiłam sobie; i odtąd umarli weszli między żywych.

Jesienią okazało się, że nie mogę wrócić do Krakowa. A zatem przesłiczne moje miasto, ledwie zbudowane, miało się zapaść w rozłękę. W Warszawie osiadłam zła, jak anarchista; chętnie ciskałabym dynamit w znienawidzone ulice. Nie mogąc o każdym zdarzeniu zasięgnąć opinii prezesa, poczułam się osobą niepotrzebną — uczucie gorzkie nad wszelką miarę. Na nowych ludzi, zanim powiedzieli „dzień dobry”, zgóry byłam obrażona. Uniwersytet wydał się budą bez duszy, pełną żydówek i zapachu wapna. Miłość, oddarta siłą od przedmiotu zachwyceń, została mi w ręku, jak suknia jeszcze ciepła, a już martwiejąca. Pisałam listy.

Niezdarnie wlokła się zima, ni to pociąg długi bez końca, przeładowany zgrzytotą. Każdego tygodnia mówiłam sobie: „Weszłym roku o tej porze...” i twardniała we mnie jedna czerwona rozedrgana żyłka. Doroślałam. Kiedyś na ulicy minęła mnie Krystyna. Pierwsze wrażenie było: niepokój, jakaś niewygoda wewnętrzna. Odwróciłam nawet głowę, chciałam nie poznać. Zatrzymała mnie jednak najmilej i, wzięwszy pod rękę, skierowała, w swoją stronę. Po chwili już gadałyśmy, jak w Sitańcu. Nazajutrz poszłam do Henryków na cały wieczór. W przedpokoju stał wózek — mieli dziecko, półtoraroczną blisko córeczkę Jagusię. Na dywanie siedziało to małe, obsypane pstrokaczną zabawkę, i wieszkało na wszystkich spojrzonych błyszczące, jak dżet. Bardzo śmieszna dziewczynka.

Krystynę nareszcie zobaczyłam w domu. Teraz dopiero pojęłam, co stanowiło jej wdzięk największy: umiała ze swojej urody zrobić śliczną lampę własnego domu — świeciła równo i ciepło. Już na progu czuleś jej pachnącą obecność. Każdy obrazek



na ścianie, każda fałda firanki i nawet każdy ruch służącej zdawały się, jak gdyby refleksem Krysinej istoty. Henryk serdecznie mnie przywitał. Bardzo się zajmował Jagusią — pomagał kąpać, trzymał prześcieradło, nieustannie wdzięcząc się do małej. Czuly ojciec. Krystyna ze śmiechem opowiadała, że na gwałt uczył córkę piosenek i martwił się, że dziecko (półtoraroczne!) nie zdradza słuchu. Heniowie mieli piękne meble, doskonałe obrazy i — rzecz rzadka — doskonale rozmieszczone. Nie wysadzały się wzajemnie z ram, ścianę zdobiły dyskretnie, jak broszka suknie.

Kolacja przecięła wieczór na dwoje. W dzieciennym pokoju i w salonie obcowaliśmy ze sobą ceremonjalnie, przy stole nawiązała się nić sitaniecka; złączyło nas kuzynostwo. Tym razem przecież czułam więcej pokrewieństwa z Krystyną. Ona — mimo urodzenia dziecka — została ta sama; on — zdawało się — miał za plecami ścieżkę nowych spraw i sam był odmieniony. Czułam, jakby zapaszek innej rasy wkoło Henryka — jakiś atom obcości, co nigdy nie da się zasymilować. Jednak gawędziliśmy przyjemnie, z wprawą ludzi żytych. Koło 10-ej Henio nas pożegnał, mówiąc, że wychodzi do kolegi, gdzie grywają kwartet. Krystyna poszła odprowadzić do przedpokoju. Wróciła różowa, z miękkim wejrzeniem, niby ze snu.

Ten incydent zamącił mnie do dna — rozpałił, rozgoryczył; wyszłam po godzinie, znowu wściekła na Warszawę, stęskniona do plantów, wysadzona z orbity nakształt bezdomnej gwiazdy.

Stosunek z Henrykami zacieśnił się wkrótce. Ich dom, narówni z laboratorium i spacerem w aleje, napełnił moje życie. Polubiłam Jagusię. Jej śmieszne słoweczka nieraz póty tańczyły przedemną na wykładzie, aż wpadłam w zachwycone gapiostwo — wtedy chrząkali koledzy. W niedzielę lubiłam asystować przy spacerze małej panny; czasem bona zostawiała mi ją i biegła do kościoła. A ja chodziłam za wózkami z miną poświęconą, narzucając przechodniom [myśl: „O jaka młoda, oddana matka“ ...

Powoli mieszkanie Heniów, ich stosunki, przyzwyczajenia nabierały poufnego stylu dawno posiadanych przedmiotów. Poznałam troski gospodarcze Krystyny: łakomstwo kucharki i frywolność młodszej, potrzebę klockowych wstawek do sztor w gabinecie, kaprysy gastronomiczne Henryka, wybuchowość pieców. Jaga nie chciała myć głowy bez mojej bajki „o żywych włosach“, Henio twierdził, że nikt tak nie przyrzadza kawy... Dobrze mi było z nowym nałogiem. Zaczęłam chodzić do teatru, przetańczyłam parę wieczorów, ojciec nie mówił już o mnie: histeryczka — i głucho dźwięczał Kraków.

Na zebraniach muzycznych, na które Henryk zabierał mnie parę razy, spotkałam Sonię — pannę z tej samej pensji, trochę starszą (Krystyna nie

bywała na „sympozjonach“). Soni nie lubiłam. Żyła w świecie tak obcym, że nie umiałam się z nią porozumieć. Miała rodzinę w Rosji, wiecznie coś się u niej działo, to na Krymie, to w Wiaźmie, jakiś wujo-pułkownik pasł ją czekoladkami, przepadała za baletem, nosiła wstążki we włosach i patrzyła na wszystko z jednakowym uśmiechem, jak ikona. Grała dużo i biegle, znała teorię muzyki. Henryk grywał z nią na dwa fortepiany. Chwalił rytm, dodając; „Wszystko dobrze, tylko nie te moskiewskie perfumy. I koszula brudna wyłazi jej z dekoltu“... Tymczasem między Krystyną, a mną urosła przyjaźń.

Raz Henio przyszedł do domu zirytowany. Jagusia dostała klapsa czytał bez końca gazety; później biegał po salonie. Pewnie miał jakąś przykrość w fabryce. Krystyna zachowała się, jak najśłodsza z przyjaciółek — usuwała z drogi wszystko, co mogło podrażnić zmęczone kroki, patrzyła bez ironji i była śliczna. Ale Henryk gadał w przestrzeń, po kolacji, chwyciwszy Baudelaire'a, zaczął fantazjować na temat: czy César Franck mógłby zilustrować muzycznie wiersz „Le beau navire“. Dużo prawił nonsensów, ale czułam go doskonale i niebawem wsiąkliśmy oboje w ten sam lotny piasek. Krysia zmarszczona wyszła z pokoju. Wtedy mąż jej z pasją otworzył fortepjan. Zrozumiałam, że pomiędzy Heniami coś się już zepsuło.

Od tego wieczoru odskoczyliśmy od siebie, jak dwa koty. Miałam do Henryka żal o Krystynę; on nie mogąc mieć we mnie sprzymierzeńca, chciał koniecznie widzieć wroga. A zdeklarować się na jakąś stronę trzeba było, bo dom Heniów pękał w oczach. Ledwie zdołałam odcyfrować piewszą ryse, zewsząd wyrzało pełno krzywizn i rozpadlin. Krystyna nosiła uśmiech na wargach, o których ja tylko wiedziałam, że drżały. Wśród ścian, skazanych na zagładę, biegała gadatliwa córeczka. Niesłychanie męczył mnie ten stan. Pragnęłam wpłynąć na kuzynę, ale nie znajdowałam potrzebnych perswazyj. Tembardziej, że Krystyna wtajemniczyła mnie raczej spojrzeniem, niż słowem.

Henryk coraz rzadziej bywał w domu. Za ledwie otarłszy usta, od stołu porywał się wprost w objęcia niewiadomych rzeczy, których pełno czatuje za drzwiami. Dowiedziałam się od Soni, że namiętnie muzykuje.

W marcu wypadły jego imieniny. Koło czwartej zastałam Krystynę promienną wśród gości. Szepnęła mi: „Henio do obiadu cały czas był z nami. Taki miły... Wyszedł na godzirkę“. Otóż właśnie tego dnia wcale na noc nie wrócił.

Wkrótce później Adam — kontent z rewelacji, choć z twarzą ponurą — zwiastował mi, że Henryk ma romans z Sonią.

(c. d. n.)





Z. ZAWISZANKA

## CÓRKA BOGA

2

## I. TŁO DZIEJOWE.



by zrozumieć wiek XV, trzeba wejrzeć w dzieje tysiąclecia, co go poprzedziło — uczonego i tajemniczego tysiąclecia, zwanego Średniowieczem. Trzeba, nie gubiąc się w szczegółach, objąć wzrokiem główne rysy owej epoki, wniknąć w jej ducha, tak nam obcego już dzisiaj, w jej swoistą, potężną kulturę.

Gdy z końcem V w. po Chrystusie runęło Cesarstwo Rzymskie pod naciskiem hord barbarzyńskich, — wówczas Europa cofnęła się na całej linii w olbrzymim tym kataklizmie tracąc swój dorobek. Na trzy prawie stulecia zapanował ciemny chaos.

Wśród wędrowek ludów całych, rzezi, głodów i morów, wśród powszechnego zdziwienia — przechował z trudem szczątki kultury antycznej Kościół katolicki — jedyna organizacja, jaka się ostała, jedyny twardy punkt oporu pośród rozpętania płynnych żywiołów. To też wokoło tego punktu właśnie począł się krystalizować powoli nowy świat społecznego ładu — i nie mogło być inaczej.

Dawna Galja, — najlepiej niegdyś zagospodarowana i zasymilowana prowincja rzymska — przemieszana później z licznymi plemionami przybyszów z północy i wschodu — stała się pierwszym czynnikiem owej krystalizacji. Niedarmo Kościół uczcił Francję mianem najstarszej swej córki: wszak chrzest jej równoczesny jest z ostatecznym upadkiem Rzymu, a już w VIII w. młoda jej monarchja odiera walecznie najazdy Saracenów od strony Hiszpanji i oddaje zwycięski swój miecz na usługi papieżstwa. Od tej chwili Rzym, jako stolica Kościoła, zaczyna się stawać czynnikiem wyrażnie politycznym, bardzo wówczas cywilizacyjnym.

Z początkiem IX w. genjusz Karola W. stwarza i wciela w czyn olbrzymią koncepcję powszechną, a podwójnej władzy świecko-duchownej: cesarstwa rzymskiego pod skrzydłami papieżstwa. Systemat ten w całej rozciągłości nie przeżył swego twórcy — lecz niemniej stał się ideałem, przyświecającym całemu Średniowieczu, niejako kluczem do psychologii ówczesnej polityki, podłożem wielu zawikłanych konfliktów.

Najazdy Normanów ze Skandynawji w IX i X w. rozpętały nową burzę, której jednak państwowość francuska oparła się zwycięsko. Wśród tych zmagañ słabnie władza królewska, a rośnie znaczenie baronów i książąt, których duma i animusz rycerski stać się ma odtąd główną podstawą ustroju społecznego.

Tak Francja, jak i inne młode państwa Europy są, przez następne 4 wieki, jakby federacjami państweczek udzielnych, które wiąże tylko poczucie wierności lenniczej jednemu suwerenowi. Król — to po prostu najdostojniejszy i najsilniejszy z tych władców feudalnych, któremu inni hołd składają; w swoich dziedzicznych jedynie dobrach ma egzekutywę bezpośrednią, zależny pozatem od dobrej woli i sumiennosci w dotrzymaniu zobowiązań ze strony swych wasalów. Wojnę może prowadzić wtedy, gdy oni mu dostarczą hufców zbrojnych; władza jego ograniczona jest na każdym kroku ich ambicją, żądzą przygód

i panowania, a — także ogromnemi przywilejami bardzo bogatego wówczas i czczonego powszechnie kleru. To też konflikty zdarzają się często...

Panowanie Ludwika IX (1226 — 1270 r.) — to okres chwilowej równowagi: wówczas to świętość króla podnosi „prestige“ osoby monarszej; zakony franciszkańskie odmładzają Kościół; jednocześnie rozkwita dobrobyt, ożywia się ruch umysłowy — pod temi wpływami burzliwi baronowie i książęta cywilizują się, łagodnieją.

Oddziaływały też silnie w tym kierunku wyprawy krzyżowe, przez dwa wieki rozpłomieniające cały świat chrześcijański. One to urobiły moralność rycerską, której przykazaniem stała się nie tylko waleczność, lecz także wierność danemu słowu, pobożność, szacunek dla kobiet, obrona słabych.

Owo rycerstwo, w stal zakute — to pierwsza szlachta, w obrębie swych włości obdarzona zrazu władzą absolutną — lecz za punkt honoru mająca sobie posłuszeństwo wasalskie wobec uznanego, możniejszego pana, który jej zapewnia swą opiekę. Jest to pojęcie hierarchji napół wojskowej, związane ściśle ze stawianiem do boju na pierwszy zew potrzeby — pojęcie międzynarodowe, na które język, ni krajowy obyczaj nie ma wpływu.

Ideę narodu zastępowała wtedy idea chrześcijaństwa; ona to zapalała dusze, pobudzała do radosnych ofiar, pchając zastępy rycerzy na zdobycie Ziemi świętej i do bohaterkiej obrony przeciw inwazjom muzułmańskim.

Trudno nam dzisiaj wyobrazić sobie należycie, jak powszechnem, silnem i żywem było w owe czasy uczucie religijne. Podniosłość jego, ścierając się ciągle z bujną dzikością instynktów, wrodzoną rasom pierwotnym, stwarzała linię wypadkową, bardzo nieraz zygzakowaną i cudaczną. Znamionem zjawiskiem w Średniowieczu są częste i jaskrawe kontrasty: obok nadludzkiego niemal uduchowienia i ascezy szaleje gwałt i zbrodnia, pycha i rozpasanie.

Najogólniejszy jednak rys — to wiara w Nadprzyrodzone, ściśle jej splecenie z dniem powszednim. „Życie całe skąpane było w atmosferze nadnaturalności“ — mówi Petit Dutailles, wybitny historyk francuski<sup>1)</sup>. Bano się wówczas straszliwie piekła, a pożądano nieba; zagłębiano się chętnie w mistyczne rozpamiętywania i ekstazy, co nie przeszkadzało wcale nienawidzić wrogów, aż do okrucieństwa, gardzić słabszymi, przelewać krew z zamiłowania i oddawać się najbrutalniejszej rozpuszcie.

Świętość i zbrodnia graniczyły prawie ze sobą, jedno i drugie było naturalnem i codziennem. Tradycja pierwszych męczenników chrześcijańskich nie zdążyła jeszcze zblednąć: ideałem pobożnego rycerstwa było — polec w obronie wiary. Najzakamieniali i nawet zbóje wylewali potoki łez nad niewinną męką Zbawiciela — lecz właściwy duch Jego nauki obcy był ludziom ówczesnym.

<sup>1)</sup> Zbiorowe dzieło. Lavissee „Histoire de France.“



MARJAN DUBIECKI

## NA STOPNIACH TRONU

(KRÓLEWICZOWA MARJA-JÓZEFA)

Po długich rozważaniach Kurja rzymska potwierdziła jej małżeństwo: na tem się zakończył proces rozwodowy. Konstanty postanowił wrócić do żony, szukał więc pośrednictwa, by ją przebłagać. Uznając ówczesnego nuncjusza w Polsce Grimaldego za odpowiedniego pośrednika, pisał do niego, prosząc, by skłonił żonę do przjazdu do Żółkwi, gdzie miał się z nią spotkać. Względy polityczne nie pozwalały mu jechać do Warszawy. Pisał przeto do nuncjusza: „Staraniem naszym będzie miłością i wiernością w dalszem pożyciu naszym przeciwności i ciężkie koleje, które lubo nie z naszej winy na nią spadły, z taką rezygnacją i kornem poddaniem się niezbadanym wyrokom Opatrzności, znosiła“... Pośrednictwo odniosło skutek pożądany: królewiczowa zgodziła się na podróż do Żółkwi. August II, chociaż umocniony już na tronie, liczył się wszakże z rodziną Sobieskich, obawiając się, by wśród niej nie urósł jaki pretendent do korony, starał się pewną galanterją sobie właściwą, drobnymi przysługami ujmować członków tej rodziny. Z rozkazu więc królewskiego podróż „Konstanty“ do męża odbywała się prawie z monarszym ceremoniałem.

Powozy dworskie, paziowie, drabanci królewscy, jako straż honorowa, stanęły do usług królewiczowej. Po latach cierpień i upokorzeń, przekonawszy się, że stopnie tronu są śliskie, stanęła wprawdzie u tych stopni, lecz etykieta dworska ją raziła; życie długie w murach klasztoru odzwyczaiły ją od blasku dworszczyzny, od tłumnych towarzyszt.

Przez Lwów do Żółkwi zdążyła. Przed Lwowem, w polu, niespodzianie, na czele licznej hufca młodzieży, spotkał ją Konstanty, przybrany w strój polski, stosownie do upodobań żony. Powitanie małżonków, którzy się od lat jedenastu z sobą nie widzieli — według gazet ówczesnych — było nader czule. Przyjęcie na zamku w Żółkwi, która gorzała wspaniałą iluminacją, zadziwiała swą świetnością, prawdziwie monarszą, rozbrzmiewało gwarem licznych gości. Opustoszałe gmachy zamczyska zdawały się odmłodzone. Okoliczna szlachta przypuszczać zaczęła, że jasne, rycerskie dni króla Jana znowu zaświecą nad Polską...

Wśród gości, zebranych wówczas w Żółkwi, najbliższą i najmiłą, najserdeczniej przez „Konstantę“ witaną była hetmanowa w. kor. Helena z Lubomirskich Sieniawska: jej stosunek przyjazny z królewiczową pochodził z Warszawy, a był tak ścisły, iż hetmanowa umyślnie przybyła dla instalacji Konstanty w zamku żółkiewskim, u którego bram wręczyła jej na złotej tarczy klucze domu. Sieniawska znaną była w Polsce, jako niewiasta przodująca wykształceniem, rozumem, energją. Nazywano ją „wielką koronną rzędzioczną“... Zawsze czynna „rzędzioczną“, już niemłoda niewiasta, stała się dla królewiczowej pomocą i pociechą niemłą, gdy rozpoczął się nowy okres jej życia.

Konstanty starał się być dla żony uprzejmym, dogadzać jej upodobaniom; dla niej wyrzekł się stroju francuskich muszkietierów o barwach czerwono-żółtych, co było jego zwykłym ubiorem i przywdział zaś strój polski, stosownie do jej upodobań.

Mieszkanie swe w Żółkwi zastała zapełnione temi meblami, które jej służyły w Gdańsku, podczas owych chwil poślubnych tam spędzonych. W rozmowach swych królewicz starał się żonie wykazać, iż oboje oplątani byli siecią intryg. Podobnie jak jej Marja Kazimiera przysyłała falsyfikat jego listu, do księżnej Sforza pisanego, tak również w niego wmawiano jakieś wieści o rzekomej niewierności żony. Wzajemne wynurzenia wzmocniły stosunki, w ciągu lat kilku rozluźnione.

Dwór w Żółkwi stał się wkrótce ogniskiem życia towarzyskiego południowej Polski. Konstanty różnił się znacznie od Jakóba, nie posiadał jego skąpstwa i chciwości. Prowadzono na zamku żółkiewskim życie świetne, ale z taktem i powagą. Podwoje dworu stały się otwarte dla wszystkich; gościnność, nie krępowana — jak w Olawie — przepisami zimnej etykiety ściągała tłumy. Zwracać zaczęła ta popularność Żółkwi wśród szlachty uwagę Augusta II; zaczęły go niepokoić dawne i już nieco uspione obawy, by po jego śmierci nie zasiadł Konstanty na tronie. Przedsiębrane były ze strony królewskiej wywiady; nawet niby przypadkowo pułk saski, idący od Dniestru, zawędrował do Żółkwi i tam pozostał. Lecz i Konstanty bezbronnym nie był; otaczał go zastęp około tysiąca załogi dworskiej, zwany pospolicie „gardekurami“.

Królewiczowa w Żółkwi nie pozostała bezczynną. Założyła na zamku szkołę dla dziewcząt, której program przypomina nam zakres nauki w dzisiejszych szkołach „gospodarstwa domowego“. Poza elementarnymi wiadomościami pisania, czytania, religji, rachunków, śpiewu chóralnego, uczono je robot ręcznych szydełkiem i haftu, naprawiania i szycia bielizny, przędzenia lnu i konopi, pielęgnowania ogrodu. Oddzielny pawilon zamku został na szkołę przeznaczony. Panienci, przeważnie z domów zuboższej szlachty, tam się kształciły. Miały nawet pewien ubiór — rodzaj mundurków — dla siebie przepisany. Godziny lekcji trwały długo, do godziny czwartej. Po ukończeniu zajęć szkolnych występowały uczennice na pokojach, i pod kierunkiem starszych pań „respektowych“ brały udział w zajęciach domowych. Każda miała swój wydział, co stanowiło poczęści praktykę gospodarczą. Cała szkoła, wraz z paniami dworu i dworzanami królewicza zasiadała do obiadu z gospodarzami: „szarego końca“, jak gdzieindziej w magnackich domach istniejącego, wcale nie było; królewicz tego nie lubił.

Uczennice, które ukończyły kurs tej szkoły, były przez królewiczową, przy zamążpójściu, wyposażane i mogły liczyć na dalszą opiekę. Przy urządzeniu szkoły niemało zaważyły rady, wskazówki hetmanowej Sieniawskiej, miłośniczki światła, zwalczającej różne ówczesne uprzedzenia męskiej połowy społeczeństwa.

Nietylko szkoła dla dziewcząt stanęła staraniem królewiczowej „Konstanty“, lecz założyła ona szpital dla miasta i okolicy, do którego sprowadziła sześć szarytek z Warszawy, a na kapelana księdza Belavitz, misionarza. Pod jej czujną opieką wracały do życia w Żółkwi, przeważnie zamarte, fundacje stare, hetmańskie. W rok po osiedleniu się w Żółkwi



królewiczostwa, rozbiegła się po Polsce wieść, iż „Konstanta“ miała zostać matka. Odżyły u wielu nadzieje wytworzenia dynastji Sobieskich; wśród rzeszy szlachty kult dla krwi bohatera z pod Chocima i Wiednia długo przechowywał się i niełatwo gasł... W istocie urodził się syn, lecz martwy. Po paru latach znów na zamku żółkiewskim wifano nowonarodzone dziecię, ale żyło ono zaledwie kilka godzin. Wszelkie nadzieje upadały, co pograżyło Konstantego w stan nowej, niegasnącej melancholii. Zaczął stronić od ludzi, zamykał się... Tak trwało czas dłuższy. Zabiegi lekarzy, podróże przez nich zalecana, do Karolowych Warów (Karlsbadu) nie przyniosły żadnych rezultatów. Królewicz Konstanty d. 14 lipca 1726 r. umarł.

Wśród wielkiej boleści, jaką dla „Konstanty“ była ta strata, hetmanowa Sieniawska niosła jej dużo ukojenia swą przyjaźnią i wzięciem na siebie brzemienia interesów, Jakób bowiem zgłosił się jako jedyny spadkobierca, dążąc drogą prawną do wyrugowania królewiczowej z Żółkwi i innych dóbr, pozostałych jej po mężu w dożywocie. Hetmanowa Sieniawska stanęła jako pośrednik między nią, a chciwym, bezwzględny Jakóbem.

Ostatecznie Jakób wydarł bratowej dożywocie, utrzymał się przy Żółkwi, którą królewiczowa opuściła w r. 1729. Były to dni wielkiej żałości dla miasta i okolicy: żegnano ją ze łzami, ze smutkiem, zaiste szczerem. Mieszczanie, lud wiejski, duchowieństwo jedną myślą byli zjednoczeni, iż tracą na zawsze swą „świętą panią“... Szkoła dla dziewcząt na zamku żółkiewskim, oczywiście z chwilą wyjazdu królewiczowej, została zamknięta i już nigdy tam jej nie wznowiono.

Życie królewiczowej po zgonie męża trwa jeszcze długo. Widzimy ją oddaną sprawom swej rodziny, ale poza sprawami i troską o Wesslów, myśl o podniesieniu światła w kraju tkwi w umyśle tej wybitnej kobiety. Na widnokręgu życia umysłowego owych czasów ukazuje się postać wielkiego pijara Konarskiego. Instynktem niewieścim może raczej wiedzona, niż rozumowaniem widzi w jego działalności przebliski umysłowego, odrodzenia narodu; pragnie przyścis z pomocą jego zabiegom, nabywa więc dla Konwiktu Pijarów w Warszawie drukarnię, co było rzeczą nader pożyteczną i nawet ko ieczną. Po klęskach XVII wieku tak wszystko w Polsce upadło, że ku końcowi epoki saskiej zaledwie trzydzieści trzy drukarnie liczone w całej, obszernej Rzeczypospolitej Ofiara królewiczowej Marji Józefy w danej chwili nie miała i nader pożądaną była. Oceniali ją Pijarzy, i w ich wydawnictwach pozostały ślady uznania dla niej tego światłego zakonu.

Nie zobaczymy nowej szkoły niewieściej, przez nią założonej po opuszczeniu Żółkwi, lecz nie przestaje ona, wszędzie gdzie przebywa, czy to na zamczku w Pilicy, którą kupiła i gdzie pewien czas mieszkała po zgonie męża, czy też w Warszawie — w „dworku Pokrzywnickich“ — otacza się młodemi dziewczętami: uczy je, zamąż wydaje, wyposaża.

Za dni Augusta II, ku ich końcowi, bierze udział w życiu towarzyskiem, nawet znaczny, ale

przy ostatnim Sasie usuwa się z szerszej widowni w stolicy. Osiedla na stałe u Sakramentek w Warszawie, tam spędza ostatnie lata życia, tam wiera wpływ znaczny, zaszczipiając i utrwalając uczucia narodowe w owym zgromadzeniu zakonnem i w szkole, przez nie prowadzonej... Zgasła królewiczowa Marja Józefa u warszawskich Sakramentek, d. 4 stycznia 1762 roku... Nie brak nawet drobnych wskazówek, iż z latami zamiłowanie do wszystkiego co polskie wzrastało w niej, acz kosmopolityczne prądy, czy też wyłącznie francuskie, ją otaczały i u nas w kraju urastały. Strój polski, jak już wspominałem, był jej ulubionym w epoce, gdy powszechnie u nas skwapliwie zrzucano kontusze i fraki francuskie wdziewano. Nawet swój testament, który po francusku zaczynała pisać, po polsku skreśliła, co, acz rzecz drobna, świadczy o zwrocie ku wszystkiemu, co polskie. Tego rodzaju zwrot w epoce saskiej i wśród sfery towarzyskiej, jaka ją otaczała, rzadko się spotykał.

Obcowanie z takimi ludźmi, jak X Konarski, który „ośmielił się być światłym“ synem ojczyzny, z biskupem Kijowskim Józefem Załuskim, wielkopomnym założycielem Biblioteki publicznej, imienia Załuskich, darowanej krajowi, zapewne nie mało przyczyniło się do utrwalenia u królewiczowej myśli pracy dla własnego społeczeństwa — bodaj na szczupłej niwie rozświetlania umysłów młodych dziewcząt. Lecz wytrwanie na tej drodze, tchnienie ducha patriotycznego do zakonnego zgromadzenia warszawskich Sakramentek, to jej wyłączna zasługa.

Wielki miłośnik dobra publicznego, biskup Załuski, odprowadził jej prochy do grobu kościoła Sakramentek, gdzie spoczęły obok trumny księżnej Turenne de Bouillon, wnuczki króla Jana III, a córki Jakóba Sobieskiego.

Tradycja nader żywa o niej trwała u Sakramentek warszawskich lat kilkadziesiąt. W pół roku po zgonie królewiczowej, synowica jej i wychowanka Maria Klementyna Wessłówna, siostra podskarbiego Wessła, znanego działacza w Konfederacji Barskiej, przeobiekła się habit Sakramentek, przybrawszy imię zakonne Tekli. Otóż to właśnie ca przechowywała w murach klasztoru pamięć i wybitne rysy charakteru, usposobień, szczegóły życia ciotki; przechowywała bardzo długo, bo umarła w r. 1831... Myśl patriotyczna królewiczowej wciąż widocznie unosiła się nad jej grobem. Podczas insurekcji Kościuszkowskiej ówczesna ksieni Sakramentek Wodzyńska zgłosiła się do Rady Najwyższej (w wrześniu 1794 r.), ofiarowując w imieniu zakonu na potrzeby wojska ołów, którym kościół był pokryty. Wezwany przez nią budowniczy miał czem innem pokryć świątynię...

W czasach najcięższej niewoli, w dobie porobiorowej, po powstaniu listopadowem, cicha praca wychowawcza zakonnice, u grobu królewiczowej Marji Józefy, pilnie strzeże ducha narodowego wśród uczennic. Tam właśnie, wśród wielu innych uczyły się, tam zaczerpnęły owego ducha patriotycznego, którym później obdzielały rzesze ujarzmionego społeczeństwa, takie niewiasty, jak Eliza Orzeszkowa i Marja Konopnicka, że nie wspominały o imionach nieznanych pracowniczek i opiekunek licznych ognisk rodzinnych.





## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### GÓRĄ WŁOSZKI.

Rząd włoski, w uznaniu wielkich zasług, jakie oddaje państwu i społeczeństwu Związek Narodowy Kobiet Włoskich, wyznaczył tej organizacji stałą subwencję roczną w sumie 10 tysięcy lirów. Królowa włoska Małgorzata ofiarowała Związkowi artystycznie wykonany sztandar.

### KONGRES FRANCUSKICH TELEGRAFISTEK.

Odbył się niedawno w mieście Dijon kongres kobiet francuskich, zatrudnionych w urzędach telegraficznych, iskrowych i t. p. Uczestniczki kongresu powzięły cały szereg uchwał w kierunku polepszenia warunków pracy, mianowicie domagały się dłuższych urlopów, zrównania płac z pracownikami mężczyznami, protestowały przeciwko zmniejszaniu pensyj emerytalnych i t. d.

### JUBILEUSZ NAJSTARSZEJ SZKOŁY KOBIECEJ W CZECHACH.

W ubiegłym miesiącu obchodzoną była uroczystość 35 rocznica założenia pierwszego w Czechach gimnazjum dla dziewcząt pod nazwą „Minerwa”. Pismo kobiece czeskie „Zvěstování” pomieszcza z tego powodu dłuższy artykuł, poświęcony działalności tego gimnazjum, podnosząc w szczególności wielkie zasługi jego założycielki i pierwszej kierowniczki, znanej autorki czeskiej Elizki Krasnohorskéj.

E. Krasnohorská cierpiała bardzo nad tem, że nie była jej daną możność ukończenia wyższych studiów i pragnęła gorąco utorować kobietom czeskim tę drogę, która przed nią samą była zamknięta. Twórczyni pierwszej czeskiej szkoły kobiecej musiała jednak przez długie lata borykać się z wielkimi trudnościami natury zarówno moralnej, jak i finansowej, zanim udało się jej przezwyciężyć opór społeczeństwa i zwalczyć uprzedzenia, mocą których kobieta była usunięta z życia naukowego i społecznego.

W obchodzie jubileuszowym wzięły udział szerokie sfery społeczeństwa, w pierwszym rzędzie zaś były wychowanki zakładu, których znaczna część piastuje już dziś wysokie stanowiska w świecie naukowym.

### ŚMIAŁE PRZEDSIĘWZIĘCIE.

Pisma amerykańskie donoszą o niezwykle śmiałym przedsięwzięciu tamtejszej dziennikarki, Miss Wirginji Swaney, która wykryła i podała do wiadomości publicznej oszustwa, praktykowane masowo przez pewną sektę spirytystyczną. Miss Swaney udało się przeniknąć do siedziska tej sekty w mieście Chesterfield (stan Indiana), gdzie przebyła kilka miesięcy, podając się za gorliwą zwolenniczkę spirytyzmu. Pozyskawszy zaufanie kierowników sekty, panna Swaney została wtajemniczoną w cały szereg praktyk pseudo-religijnych, wśród których główne miejsce zajmowało wywoływanie dusz zmarłych za pośrednictwem medjów. Podczas jednego z takich seansów Miss Swaney zażądała skomunikowania się z duchem zmarłego swego brata, opisując medjum jego wygląd, cechy charakteru i t. d. Medjum obiecało zaspokoić to żądanie jakoż na następnym seansie pojawił się ów brat w towarzystwie swojej babki, prowadził z siostrą dłuższą

rozmowę, a nawet pozwolił się sfotografować. Wówczas panna Swaney oświadczyła kierownikom seansu, że cała ta sprawa jest zwykłym szalibierstwem, nie miała bowiem nigdy brata, a babka jej jeszcze żyje. Rozwścieczeni członkowie sekty chcieli ją zynchować, odważna dziewczyna potrafiła jednak wyrwać się z ich rąk i uciec poza obręb siedziby sekty, wszystkie zaś praktyki i oszustwa, które zbadała dokładnie, ogłosiła w pismach, czem ściągnęła na siebie nienawiść wszystkich amerykańskich spirytystów i otrzymała 2,000 anonimowych listów z pogrózkami, między którymi znajdowały się i wyroki śmierci!

Na wskutek rewelacji panny Swaney władze sądowe udały się na miejsce, aby zbadać dokładnie daną sprawę. Rezultatem dochodzenia śledczego było aresztowanie 15 medjów pod zarzutem oszustwa.

Z. B.

## SZKOŁA ROLNICZO GOSPODARCZA W DZIAŁDOWIE

Dzięki wydatnej pomocy Ministerstwa Rolnictwa oraz pracy jednostek, rozumiejących doniosłość placówki kulturalno oświatowej na tak ważnym pod wieloma względami terenie, jakim jest Działdowo, żywy szmat Mazowska Pruskiego, przyłączonego na kongresie Wersalskim do Polski (bez plebiscytu) powstała szkoła rolniczo gospodarcza żeńska. Narazie w dn. 13 b.m. otwarto kurs 3 miesięczny. Z nowym rokiem szkolnym znacznie funkcjonować szkoła normalna o kursie 11 miesięcznym.

Mimo różnych trudności, wykłady rozpoczęły się w przewidzianym terminie. Na kurs zapisało się zgórz 70 dziewcząt wyłącznie z powiatu działdowskiego i miasta Działdowa. Jest to objaw niezwykle pocieszający — Mazurki bowiem naogół są konserwatystkami i niedowierzają wszelkim nowym poczynaniom. Wysoka nadspodziewanie liczba kandydatek jest wyraźnym dowodem, że szkoła ta była potrzebna.

Działdowo posiadało przed wojną szkołę gospodarstwa domowego, t. zw. „Wirtschaftsschule”. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mimo zniszczenia, jakiemu uległo miasto w czasie inwazji rosyjskiej, oraz ciężkich walk tam stoczonych, mimo pożaru gmachu szkolnego, ocalały niektóre urządzenia, dzięki czemu można było stosunkowo niezbyt wielkim nakładem szkołę uruchomić.

Kurs nauk, rzecz oczywista, musiał zostać przystosowany do warunków lokalnych, oraz niejednorodnego poziomu intelektualnego kandydatek. Cały szereg dziewcząt niezna alfabetu łacińskiego, bowiem rozmyślnie w szkołach pruskich takowego nie uczono.

Szkoła w Działdowie powstała z inicjatywy i dzięki staraniom redaktorki „Gazety Mazurskiej” i „Kalendarza dla Mazurów” Emilji Sukertowej, oraz dzięki intensywnej pracy komitetu, na którego czele stanął zasłużony na niwie mazurskiej inspektor szkolny Paweł Klimosz oraz sprężysty i dzielny burmistrz Alfred Rzyman, dr. Tadeuszowa Michejdzina i inni. Kierownictwo szkoły objęła p. kapitanowa Julja Baranowa.

Tej nowej tak potrzebnej placówce na pograniczu mazurskiem należy życzyć pomyślnego rozwoju.

## Z KSIĄŻEK

Edward Kozikowski. „Wymarsz świerszczów”.  
Poezje beskidzkie. Nakładem Czartaka.

Nie pamiętam — piętnaście, czy dwadzieścia lat temu, dostałam książkę Kozikowskiego — pierwsze jego poezje. Zostały mi po nich wspomnienia tęczy, słońca, blasków promiennych, świtów różowych. Autor przyszedł sam do mnie — przedtem nieznanymi. Młode, śliczne chłopię o bardzo subtelnych rysach i słodkim wyrazie twarzy. Mówiliśmy naturalnie o jego przyszłości, o blizkich marzeniach i dalszych. Miał naręczona, która bawiła się lalką. Sam — jak żak rozbawiony — uśmiechał się do swoich snów, które były jak rozsypane po świecie rubiny, topazy, szafiry. Zebrać je i nanizać na tęczowe nici. Prędeż, zwawiej. Pilno mu był Palidy się do tej „kolorowej” przyszłości oczy, usta i wszystek żar duszy.



Straciłam chłopca — poetę z oczów. Padało nazwisko o jego tu, tam. Drukował poezje swoje w różnych pismach, wydawał je w tomkach oddzielnych. Ale nie przychodził już do mnie. Wiedziałam, że przysłał do „Czartaków” — bractwa poetów, na czele których stanął mistyk — marzyciel, genialny Emil Zegadło. Kochali Beskidy, przewędrowali wszystkie wirchy i przełęcze, wszystkie doliny i szlaki królewskie, po których „gwiazdy chodzą i ciągnie sto ptaków”. Każdy — w matni zatraconych dróg — uważał się tutaj za króla świata. A ten król miał nad sobą tylko wszechobecnego Boga.

„Czartaki”? — skąd?

„Stoi w Beskidach karczma — „na rozpadzie dróg różnych, które djabeł przekopał.“ Straszy tam. Wśród mieszkańców kołaczę się wieść, że czart przewodzi tutaj zbierającym się duchom. Może są to cienie arjan, którzy szukają w tym domu jakiegoś zbłąkanego towarzysza, co wstąpił tutaj na chwilę, a przespał już trzysta wieków? — pyta Kozikowski w swoim wierszu „Czartak”. A może jęczą w absydzie sklepienia tęsknoty tej duszy pielgrzymiej i jakiś „gacek stuletni” w zмовie z przeszłością powtarza je po nocach?

Pluszeczka opodał Skawa. Czasami cichnie, zamiera, lecz znowu powraca, żeby mówić przyszłości o tem co przeszło. A poeci wędrowcy wsłuchują się w rozhówr Skawy ze stuletnim gackiem i powtarzają legendy beskidzkie.

Przyszyli dni wymarszu poetów. Jak rozigrane świerszcze przewędrują górskie krainy aż ku „miastom w porannej mgle śpiącym,” niosąc radość ziemi w „monotonnie cykającym rytmie”. Gośćnikami, jezdniami, chodnikami śpiewają świerszcze wciąż jedno. Stają przechodnie wzdłuż ulic. W każdym oknie ktoś słucha i do najciemniejszych mieszkań wchodzi słońce, szum zboża, plusk potoków, „urodzonych pod beskidzkim niebem”. Nie było miasta i nie było uliczki w mieście, gdzieby zbrakło uśmiechu bławatów i złotych blasków słońca zbudzonych przez te „świerszcze śpiewające, wysłanniki łąk i pól, posłusznych a małych braci polnego kamienia.”

Zdawałoby się, że ostatnia książka Kozikowskiego, której śliczny wiersz tytułowy poświęcony jest w przenośni — tym beskidzkim pieśniarzom, co rozświetlili muzyką swoją każdy zakątek szarych miast, — powinna być jak łąka zboża radosna Tymczasem...

„Rozmowa z czytelnikiem”, która stanowi wstęp do książki — dosyć długi, na kilkunastu stronicach, brzmi jak jeden akord żalobny.

Przed piętnastu, czy dwudziestu laty stało przedemną chłopię szczęśliwe. Dziś przecież dopiero człowiek w sile wieku, a już jak starzec zgrzybiały, zawiedziony we wszystkich nadziejach, neutulony w żalu do ludzi, zgryziony, znękan, powalony kłoda rozgoryczeń do ziemi.

Gdzie sny różowe? Gdzie radosne wyczekiwanie darów życia?

Poeta wyrzeka się własnego społeczeństwa, nie pisze bowiem, że należy do niego, lecz że „zaliczono go do trzydziestu milionowego narodu”, wśród którego rozchodzi się za ledwie po kilkaset egzemplarzy każdej książki jego. Drukuje zresztą poezje swoje tylko dla przyjaciół i tych najbliższych sercu istot, do których zalicza i wróbla, przypominającego uderzeniem dzióbka godzinę śniadania. Wisłą nazywa „przerekłomowaną, nudną rzeką, jak wszystko, o czem się mówi w tem mieście (oczywiście, Warszawie) i głośno zachwala.”

Zdeptane ambicje, zburzony gmach marzeń o sławie, tomy poezji, które rozchodzi się w kilkuset egzemplarzach za ledwie — więc żal do narodu, głucha nienawiść do rodzinnego miasta, zniechęcenie do życia, wzywianie „dobrośliwej śmierci”, gdy tyle, tyle roboty dokoła, gdy z odmentów chaosu, w zmaganiu się z bezrozumem wrogich sił buduje Polska opoki bytu swego.

Ale prawda, wszak autor nie należy do trzydziestomilionowego narodu, lecz tylko „został zaliczony do niego”. C. W.

## Z TEATRÓW

Ostatnie premjery warszawskie w Teatrze Małym i Letnim odbyły się, jako zazwyczaj, pod znakiem paryzjanizmu. Do kategorii bowiem dobrze imitowanej francuzczyzny należy „Bitwę pod Vaterloo”, mimo jej z amerykańsko-madajarskiego kolorytu obyczajowego. Iście francuska werwa wybornych teatralnie sytuacji, czyni z tej roześmianej krotoczwili jeden z lepszych okazów współczesnej produkcji bulwarowej. Wszelako głębszy literacki talent jej autora Lengyel'a znać wybitnie w doskonałym rysunku psychologicznym postaci czołowych, wnoszących oprócz rozigranej pustoty, jeszcze i cechy rasy, oraz obyczajowości dobrze odmalowanego środowiska. W wykonaniu artystów T. Letniego zalety farsowe uwydatniono znacznie dobitniej, niż komedjowe, na co publiczność „Warszawki” bynajmniej się nie uskarża. Fertner króluje tu niepodzielnie ze swym talentem, rozmachem i smakiem, który miejscami graniczy z brakiem smaku.

Reszta wykonawców z wyborną kandydatką na gwiazdę filmową z pod „Arzyża Południa” — p. Brydzińska na czele dostrajała się do niefrasobliwego tonu sztuki z wprawą i temperamentem.

Równocześnie Teatr Mały uczęstował bywalców swej sympatycznej widowni bulwarowym epikureizmem zręcznego Saszy Guitry w sztuce p. t. „Mój ojciec miał słusność”. Można by zakwestjonować, czy miał słusność również i kierownik repertuaru teatrów Dyr. Szyfmana, wybierając z bezliku sztuk płodnego autora-aktora tę właśnie nieco pretensjonalną sztukę. Zainteresowanie to narzuca się tem silniej, iż wartość drobniejszego Guitrego polega w trzech czwartych na błyskotliwym dialogu, teatr zaś mógł wydelegować do tej misji tylko jednego ze swych świetnych dialogistów — pana Stanisławskiego. Skutkiem tego większość scen miała raczej charakter monologów. Oryginalnością sztuki był występ pani Siennickiej, która ze swego epizodu potrafiła uczynić wyborny popis gry aktorskiej dobrej, starej szkoły.

Od cudzoziemszczyzny repertuarowej odbija korzystnie polska, nawskroś polska komedja Józefa Rączkowskiego, który odważnie wtargnął do Teatru Narodowego i od pierwszego ataku zdobył powodzenie, wnosząc oprócz zmiennych wartości estetycznych konstrukcyj, autentyczną żywość charakterów, obserwowanych bezpośrednio i odczutyż żywym polskiem sercem.

„Polityka i miłość” śmiało i z rozmachem poruszyła jedno z najistotniejszych zagadnień społecznych w Polsce dzisiejszej, mianowicie tworzenie się nowego typu chłopca — obywatela. Dla ludzi głębiej patrzących, sztuka ta stanowić może analogię ideową z „Nowymi panami” Caillavet'a, naturalnie nie chodzi tu o pokrewieństwo formy, która u Rączkowskiego jest żywiołowo prymitywna, a u francuskiej spółki pisarzy wytrawnie mistrzowska. Podobieństwo polega wyłącznie na tem, że zarówno „Polityka i miłość”, jak jej francuska siostrzyca, pokazują nowy typ ludzki, tworzący się w naszych oczach pod wpływem biegu dziejów. Chłopi Rączkowskiego to nowi panowie bracia dawnego gminu szlacheckiego, który przez wieki bwał ostoją potęgi Rzeczypospolitej, a w schyłkowym okresie, nie zasłony w dostatecznie szybkim tempie dopływem kulturalnie urobionych pierwotnych sił ludu, potęgę tę podważał wzrostem prywaty stanowej.

Nowi panowie bracia w świadomej i jasnej definicji Rączkowskiego, odczytanej bystro w sercach i głowach nowego zastępu obywatelskiego polski-kmieciej, różnią się od swoich starszych krewniaków wolą umiejętnego życia dla Ojczyzny, gdy tamci umieli jedynie dla niej umierać.

Proste dzieje walki warcholstwa z ideą porządku i karności społecznej odtworzył autor bezpretensjonalnie i szczerze, choć niejednokrotnie zgrzeszył wyraźną tendencją polityczną. Miłość dwojga młodych stanowi w tej komedji, jak i w starodawnej „Zemście”, złoty most zgody między zwaśnionymi przeciwnymi stronictw.

Akt trzeci sztuki jest kapitalnym obrazem wiecu chłopskiego, w którym uwydatniają się wyraziście wszystkie elementy dawnych sejmików szlacheckich. Tylko miast magnaterji warcholi tam utopja, usiłująca judzeniem kastowym i apoteozowaniem ciasnoty pojęć niewolić rzesze dzisiejszych chudopacholów, jak dawniej niewolono je czapką, papką i solą.

O żywotności prostej komedji Rączkowskiego świadczy to, że mogli znaleźć w niej pole do świetnego popisu najpierwsi polscy aktorzy. Oni to stali się istotnymi współtwórcami, oni dali sztuce wartości estetyczne barażo wysokiej miary. Świetna i wnikliwa reżyserja Jaracza wydobyla całą krasę polszczyzny zarówno z tekstu, jak z talentu wykonawców. Solski stworzył świetny typ wiejskiego intryganta — gębacza, dla którego horyzont polski kończy się za płotem jego własnej zagrody. Jaracz w arcywyrazistej postaci posła — matolka uwydatnił z przejmującym komizmem banalność wiecowej argumentacji, aż niepowszednią w swej płytkiej ograniczonosci. Chmieliński odczuł żywo postać chłopca, który rozumu i kultury uczyć się musiał z oceanem na... angielskiej książce. A tę amerykańską zdobycz przeniósł na stare lata w ojcyste progi. Komuż nie przyjdzie na myśl „Garść pszenka” Syrokomli, kiedy to z zagranicy chłopskim rozumem wniesiono na ugory swojskie zbożne, zdrowe ziarno.

Mistrz Kamiński zyskał gromki aplauz wyjątkiem czterem nastu słów, w których dzięki świetnemu kunsztowi aktorskiemu, potrafił zawrzeć całą biedotę znękanego poczciwca — analfabety, obdarowanego nagle prawami elektora do najwyższych władz parlamentarnych.

Ale przejdźmy do młodych. Tu prym trzymał p. Stoma, świeży, a świetny nabytek T. Narodowego, aktor w sile wieku i talentu, który tężyzną charakteru nowego ziemianina, dochodzącego chłopskim rozumem do pojęcia podstawowych zasad obywatelskich potrafił natchnąć żywą figurę nowego „Pana brata”.

Pani Ordon-Sosnowska wniosła tyle świeżości i rozmachu w postać dojrzałej, a dorodnej swatki wioskowej, że młodością dorównywała wdzięcznej pani Niedzielskiej, oraz gromadce przejętą polityką i miłością młokosów i dziewcząt.

Zast.



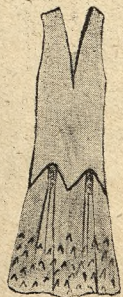
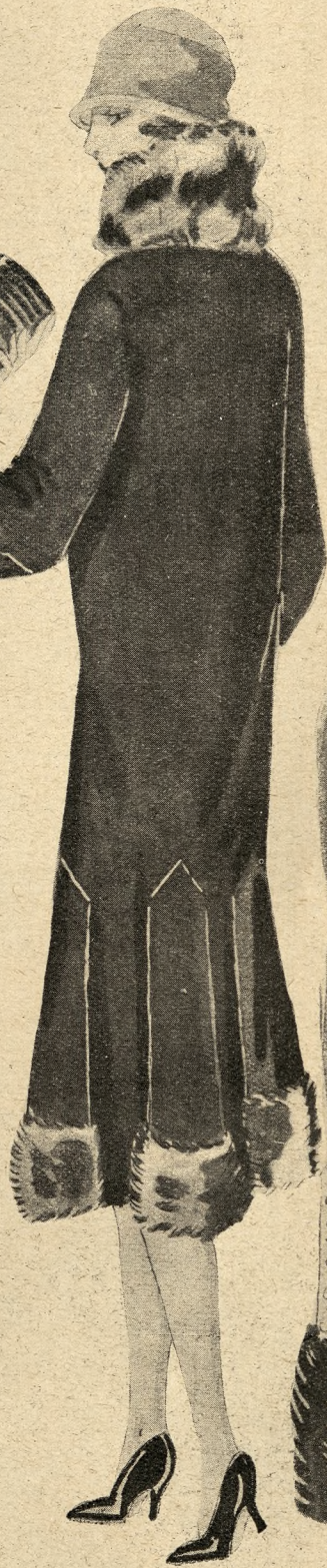
MODY

I

ROBOTY







62.

63.

64.

65.





66.



67.



68.



69.



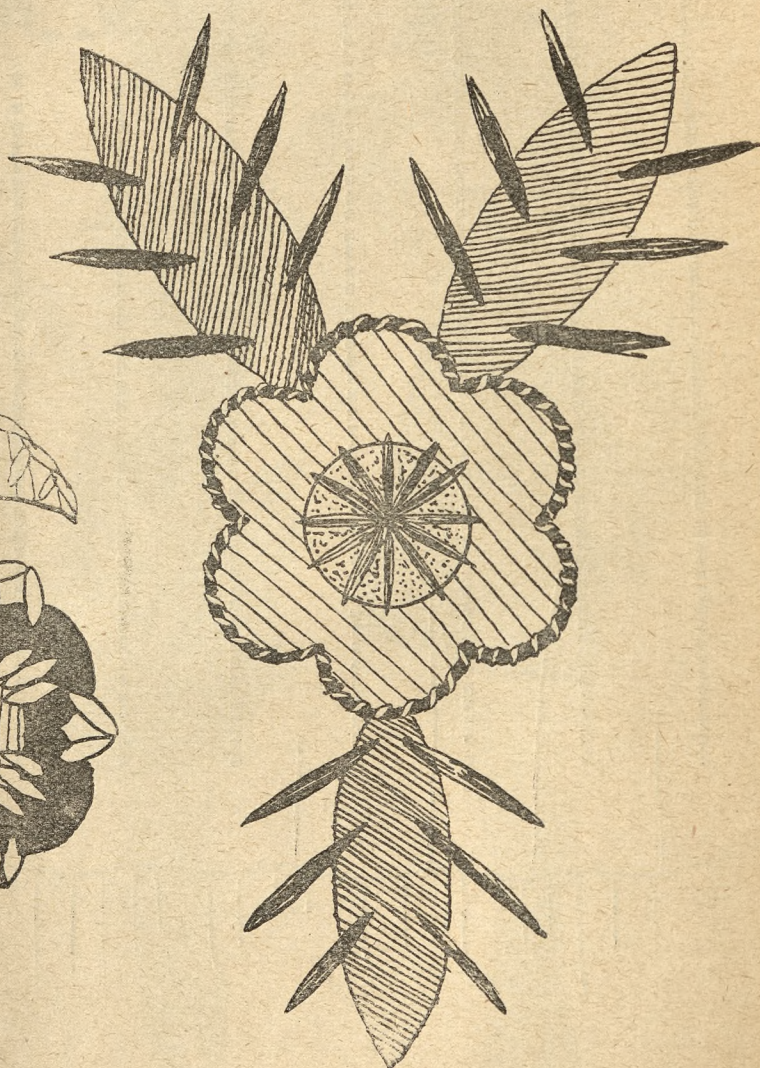
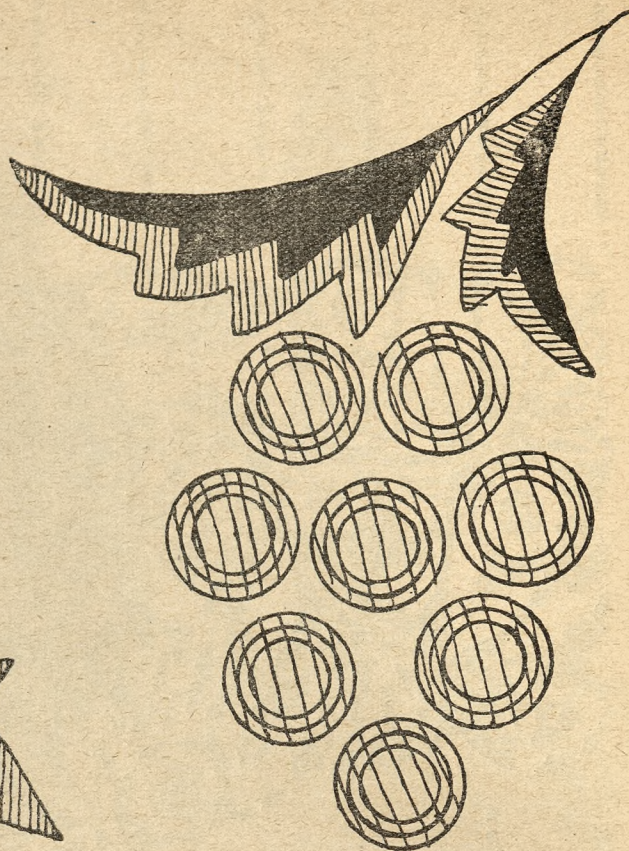
















## ŻAKIECIK

Żakiecik ten lekki, ciepły, a nie gorący, o wdzięcznych barwach i zręcznym kroju, w cieniach modnych, dystygowanych i zgadzających się ze wszystkimi kolorami, użyteczny jest w zimie do noszenia w pokoju, a na wiosnę stanowić będzie miłe i przy-

tulne ubranie. Na taki żakiecik potrzeba 250 gr. wełny grubości sześciu nitok koloru bois de rose, 100 gr. wełny koloru jasno rezedo-

wego, 50 gr. koloru ciemno rezedowego i 150 gr. sztucznego półkrętego jedwabiu koloru bois de rose. Na spód kupuje się 1 m. 35 c. fabrycznej siatki 2 m. — 50 c. szerokiej, na której, po ufarbowaniu na kolor tła, oznacza się bawełną formę żakietu. Potrzebna jeszcze jest igła kanwowa i ramka do wyciągnięcia siatki. Wysuszoną z farby siatkę rozciąga się w ramce, każdy kawałek po kolei i wy-

## NA SIATCE

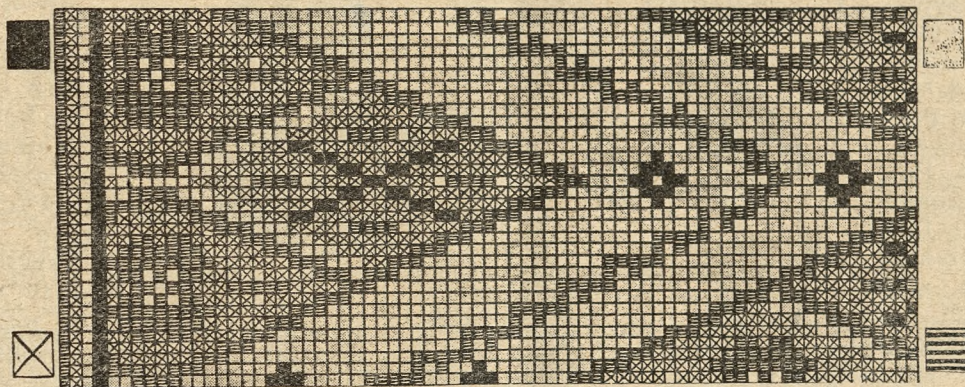
szywa na nim podług deseni, zaczynając od jedwabiu — następnie dwoma cieniami rezedowymi — wkońcu zaszywa się tło kolorem bois de rose. Skoro każdą część skończymy, wycinamy je i starannie złożymy — zeszywamy

razem ze sobą, wkońcu obrabiamy szydełkiem ściślemi oczkami wokoło. Zrobić szydełkiem 3 guziki koloru bois de rose — obciągnąć drewniane fo-

remki, przyszyć z lewej strony — z prawej, obrabiając brzeg, zrobić pentelecзки. Tło naszywa się wzdłuż — cerując oczka siatki po pięć razy każde, jedwabiem, albo włóczką, jak to na deseni wskazane, zostawiając gdzieś dla efektu pustą kratkę. Po wyszyciu całego żakietu uprasować go lekko po lewej stronie przez zwilżony ręcznik — uważając, żeby za mocno nie wyciskać wełny, bo się spłaszczy.

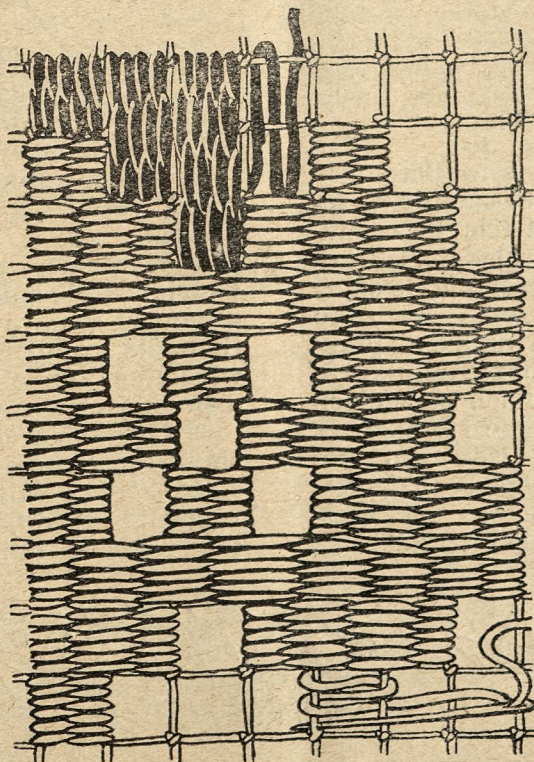
rezedowy ciemny

bois de rose



ejdwab

rezedowy jasny





## LIST Z PARYŻA

Paryż, w styczniu 1926 r.

Po długim namyśle i ciągłych wahaniach zima nareszcie rozgościła się na dobre w Paryżu,—ostra, sucha, mroźna. Poranki pogodne, przejrzyste, słońce rzuca snopy radosych promieni, w których wszystko dookoła srebrzy się od szronu. O 4tej po obiedzie zato już zmrok zapada kompletny—zupełna zmiana dekoracji. Błękitnawa mgła rozpościera się nisko nad miastem, nadając gmachom i ulicom zupełnie specjalny koloryt. I cudnie wygląda stolica o zmierzchu, walczącym z tysiącem reflektorów znikającego powoli dnia... Sekwana ciemnieje i zdaje się być głębszą i bardziej przepaścistą, „Notre Dame” i „Louvre” zatracają precyzyjne kontury, nieco dalej wieża Eifel sinawa, niepewna w przedwieczornych półtonach, zdaje się unosić nad ziemią, symbolizując w swym niebotycznym wzlocie chwilę obecną, przesiąkniętą realizmem, przeplatany poezją—ale ponad tem wszystkim jest ulica, ulica Paryża, źródło nieświadomej radości, zapału, bogactwa, złożonego z tylu kontrastów i przejęta energią życia w całym intensywnym tego słowa znaczeniu. Lecz jest coś jeszcze ciekawszego, co bardziej, niż zwykle o tej porze, zmienia charakter ulicy — to moda. Już od dość dawna kolekcja zimowa opuściła „ateliers” i rozeszła się po ulicach, gdzie panuje wszechwładnie. — Co najbardziej uderza nas na pierwszy rzut oka, to radykalna zmiana w linii, gdyż sylwetka prosta i obcisła należy już stanowczo do przeżytków. Kobiety w sukniach krótkich, lecz mających 4 metry obwodu u dołu, wyglądają, jak korony kwiatów. Fałdy, klosze, marszczenia, baskiny nakładane i rozszerzone jeszcze futrem — wszystko to daje kombinacje bardzo bogate i dotąd niepraktykowane. Kolory najmodniejsze i najbardziej używane na palta, to bois de rose we wszystkich odcieniach i pochodzące od niego odcienie rude i brązowe, a także wszystkie cienie zielone od ciemnego vert bouteille, aż do płowego koloru rezedowego.

Różnorodność i bogactwo futer są tak wielkie, że mimowoli przychodzi nam myśl pytanie, jak

sobie radzą panie, które nie mogą sobie pozwolić na ten ogólnie panujący luksus. Na pociechę im powiem, że obok bogatych i kosztownych futer, jak foka, sobole, tomaki kamienne, popielice, szenszyle

i inne, modne i również noszone są wszelkie imitacje, a nawet poprostu futra królicze o naturalnej siwej, lub brązowej barwie. Pasy z futer rozszerzają się,

sięgając u rękawów łokci, a u dołu okrycia kolan. Olbrzymie kołnierze okalają głowę, zamykając ją

w miękkiej ochronie, jak precyzyjny klejnot. Dla bliższej orientacji podaję niżej kilka modeli okryć, które są w tej chwili na porządku dziennym.

Na ranne wycieczki za sprawunkami radzę Sz.

Paniom skromne palto z zielonego sukna, lub „du-

vetyne”, przybrane szarymi królikami. Model ten

powinien być wykonany przez dobrego krawca

z powodu podwójnych krytych kontrafałd, które muszą być bez zarzutu (rys. 1).

Następny model nadaje się bardziej do wizyt popołudniowych, a nawet i na niektóre wieczorne okazje.

Z aksamitu „bois de rose” w dosyć ciemnym tonie przybrany jest bogato rudym lisem. Daje bardzo dodatnie

wrażenie, odpowiednie jest jednak tylko dla osoby o wypróbowanej elegancji, wysokiej i szczupłej (rys. 2). Boki kloszowe

tego okrycia otrzymuje się, nakładając zapomocą inkrustacji dwa półkola o promieniu równym wysokości

kloszów (od stanu do dołu) Każde proste jedwabne okrycie można w ten sposób prze-

robić, jeżeli się posiada trochę materiału i dużo odwagi.

Wreszcie na premierę, bal, czy inną oficjalną okazję, polecam „sortie de soir” z jedwabnego aksamitu szmaragdowego podbite białymi królikami (imitacja gronostai) lub złotą lamą. Okrycie takie

widziałam także zrobione z aksamitu rubinowego, a podbite srebrnym brokatem (rys. 3).

Oglądając chociażby ten model, ma się przed-

smak tegorocznego paryskiego zimowego sezonu „la

seazon” jak mówią amerykanie, z teatrami, restauracjami, balami, z całym blaskiem i przepychem,

jaki roztacza dopiero co otwarty karnawał. Sekwa





## M O D A N A S C E N I E

„Gdybym chciała“ powiedziała sobie pani Cwiklińska w przesłicznej sztuce Géraldy'ego, „mogłabym oczarować wszystkich mężczyzn, ale wystarczy mi to, że czaruję własnego męża“. I par dessus le marché oczarowała publiczność finezyjną i błyskotliwą grą i gamą przesłicznych toalet. W sukniach pani Mieczysławy Cwiklińskiej czaruje nie tylko ich bezsprzeczna wytworność i elegancja, ale przede wszystkim ta niezwykła umiejętność dostrajania charakteru toalety do psychiki odtwarzanego przez artystkę typu. Dwie pierwsze toalety pani Cwiklińskiej nosiły owo piętno spokojnej wytworności, cechującej młodą mężatkę, kochającą i kochaną. Śliczna i harmonijna letnia suknia domowa z gęstej białej georgette'y odznaczała się przede wszystkim wielką wytwornością kroju. Brzeg długiej tuniki, półokrągło wyciętej z przodu, zdobił szeroki haft, właściwie symetryczne podziurkowanie georgette'y, wyglądające, jak gruba siatka. Podobny haft, czy siatka zdobiły dół długiego rękawa, zmarszczonego przy kiści w wąziuchny mankiecik. Długi szalowy kołnierz dochodził aż do wąskiego paska z georgette'y, wiązanego na linii normalnego stanu. Czworokątny niewielki dekolcik zamykała, kamizelczka z gładkiej georgette'y. Całą tę harmonję białości ożywiały jaskrawą nutą białe zamszowe pantofelki z ponsowem okantowaniem i trzymana w ręku ponsowa chusteczka. Pończoszki były cieliste, wciąż jeszcze cieliste. Negliż poranny pani Cwiklińskiej składał się z gładkiego dessous z blad różowego crêpe de chine'u i otwartego z przodu blad różowego kimona z szerokimi błękitnymi wyłogami aż do dołu i błękitnem obramowaniem rękawów. Takie zestawienie barw blad różowej i błękitnej nosiło dawniej wdzięczną nazwę „giroflée girofla“. Kiedy odtworzona przez panią Cwiklińską szczęśliwa żona uświadomiła sobie chęć podbijania serc męskich, zmienia radykalnie sposób ubierania się. Teraz widzimy ją w sukni z georgette'y cyclamène ekscentrycznej i prowokująco kokieteryjnej. Góra niemal obcisła, uwydatniająca kształty, dół—skombinowanie marszczonych kloszów, szeroki jak „paczka“ baletnicy, inkrustowany rdzawą koronką. Dziwaczne i śmiałe zestawienie barw. Rękaw obcisły do łokcia, również zakończony szeroką, suto marszczoną fal-

baną inkrustowaną i zakończoną rdzawą koronką. Dekolt okrągły, uwydatniający linię ramion, kokieteryjnie zarzucony szalem z georgette'y, zakończonym koronką.

Podnosi jeszcze oryginalność toalety, przypięty z boku kwiat bladolila i takąż trzymana w ręku chusteczka.

Panna Gorczyńska w roli romansowej rozwódki była uosobieniem zalotności. Kiedy, jak grom z jasnego nieba, najeżdża autem spokojny wiejski dom swych przyjaciół, ma na sobie rozkoszny deux pièces. Kloszowy płaszcz beige, przybrany w dole szerokimi pasami jedwabiu bordo. Pod tem suknią gładka, obcisła, suto w dole skloszowana. Cały dół wykończony wypustką bordo, z jednego boku klosz się odwija, pokazując bordo podszewkę. Szyję owija kołnierz szal, suty i długi. I długie wąskie rękawy są również przybrane dziwacznie trójkątami bordo przy mankietach. Małeńki kapelusik beige, z odwiniętem przy twarzy rondem, zdobi marszczona koronkowa woalka, szczególnie dawno nie spotykany, a taki ładny i twarzowy. Negliż panny Gorczyńskiej jest arcydziełem kokieteryj. Wążka zielona jedwabna suknia (jeden z najmodniejszych w Paryżu kolorów) przybrana poprzecznymi pasami pięknej srebrnej koronki. Od ramion dwa olbrzymie ukosy jedwabiu spadają z tyłu prawie do ziemi, tworząc jakąś dziwaczna pelerynę, lub skrzydła. W ruchu wygląda to przesłicznie, tworząc coraz to nowe kombinacje draperyj. Duży kwadratowy dekol, opadając z ramion, przypomina przesłiczną linię dekoltów z czasów Cesarzowej Eugenji. Ładne wykończenie toalety stanowią pantofelki ze srebrnej lamy z pomponami ze strusich piór. Panna Gorczyńska wkłada jeszcze jedną toaletę z szafranowej georgette'y, przybraną aksamitną aplikacją w kształcie czterolistnych koniczynek.

Każda koniczynka jest innej barwy. Z przodu aplikacja jest umieszczona nieco poniżej linii stanu, z tyłu na plecach. Dwa długie, dłuższe od sukni, kawałki georgette'y, wiszące od ramion, są również przybrane w dole aplikowanym motywem. Bardzo malownicza i nieszablonowa sukienka. Naogół tegoroczna moda zostawia dużo większe pole pomysłowości osobistej, niż w sezonie ubiegłym. W. L.

## MODY MĘSKIE W LATACH 1818—1842

Rewolucja w zasadach elegancji. Walka długich spodni z „kiulotami“. Frak i surdut. Triumf czarnego koloru. Kamizelka jako ostatnia placówka dawnej świetności barw. Żabot i halsztuk. Płaszczce.

Strój męski w latach od 1789 - 1815 przeżywa okres wybitnie rewolucyjny. Proste mieszczańskie ubranie zaczyna wdzierać się na niedostępne dotychczas dla siebie progi, stopniowo rugując wytworne „habit à la française“ z całym aparatem kosztownych materyj, haftów i koronek. Dwa prądy, dawny i nowy w ciągu tych dwudziestu pięciu lat płyną obok siebie, zwalczając się wzajem; ostatecznie jednak zwycięża ten, który był prądem młodości. Godnym uwagi jest fakt, że młodzież wybrała to, co było najprostsze, najmniej rażące i okazałe, wbrew upodobaniom starszego pokolenia, które ciążyło ku barwnej ozdobności.

Nie bez związku z tem zwycięstwem pozostał fakt, że po upadku Napoleona Anglja osiągnęła nad Europą supremację polityczną i kulturalną. Już za czasów Wertera angielski strój męski zaczynał wdzierać się na kontynent; teraz jest już pochód triumfalny. „Magister elegantiarum“ ówczesnej doby, angielskim „leader of fashion“ był w latach 1799—1814 w Londynie George Bryan Brummel, głośny dandys, którego zdanie w sprawach mody było dla towarzystwa angielskiego wprost wyrocznią. Ambicją jego życia było być eleganckim światowcem. Temu zadaniu poświęcił swój wyjątkowy smak, podziwiany zarówno przez współczesnych, jak przez potomnych.





1823 r.

rzego IV, wzór, naśladowany przez wykwintnych mężczyzn globu w ciągu całego wieku.

Zmiany, jakim w owym czasie uległo ubranie męskie, były bardzo nieznaczne i zmierzały na ogół do zespolenia ściślejzego kroju z barwą.

Spodnie zachowały formę wąską i wydłużoną, jak na początku stulecia. Odosobnione próby powrotu do krótkich „kiulotów” można traktować tylko jako rozpaczliwe wysiłki w kierunku utrzymania straconej raz na zawsze placówki. Tak np. kierownicy Trinity College w Cambridge wy dali przepis, na mocy którego studentów, którzyby się zjawili w kościele, lub auli w długich spodniach, miano traktować jako nieobecnych, a Kościół anglikański postanowił w r. 1820, że duchowny w długich spodniach nie ma prawa nauczać z kazalnicy.

Kiuloty utrzymały się stosunkowo dość długo jako strój wizytowy, szczególnie na dworach, gdzie z bólem serca porzucano szczytki francuskiego kostjumu. Rewolucje przyczyniły się ostatecznie do tego, żeby wymieść ostatnie pstre szmatki, ślady dawnej świetności. Nawet w Dreźnie w r. 1830 pozwolono mężczyznom prezentować się u dworu w długich spodniach. Kiedy w r. 1833 to pozwolenie zostało zniesione, niejaki „freiherr” von Benst uskarżał się na to przed marszałkiem dworu, ale nic nie wskórał, popadł tylko w podejrzenie nielojalności.

Dopóki panowała moda obcisłych spodni, dawano pierszeństwo jednobarwym diagonalom. Kiedy

Ten prototyp i ideał „dandy’ego” wzmocnił jeszcze dążenie mody ku formom niepozornym. Kochał się w czarnym kolorze i ustawicznie kładł nacisk na to, że prawdziwy elegant nie wyróżnia się wspaniałością stroju, ale jego krojem bez zarzutu i szykiem w noszeniu. Dobrze ubranym jest ten, kto niczem nie razi oka. To był kanon elegancji męskiej, pozostawiony w spuściznie następnym pokoleniom przez dwór Je-

zaś w latach trzydziestych i czterdziestych zaczęto nosić spodnie szersze, weszły w użycie materiały wełniane wzorzyste, w paski, lub kraty.

Na ulicę zarówno, jak do salonu za dopuszczalny uważa się tylko frak. Długi i obszerny surdut jest tolerowany jedynie jako „art négligé”, ubranie domowe. Krój i fraka i surduta waha się ustawicznie między rodzajem wąskim i szerokim. Rękawy przyszywa się wysoko na ramionach, albo przeciwnie ramiona są spadziste, kołnierz bywa stojący, to znów więcej, lub mniej wykładany. Zasadniczo noszony jest ten typ surduta, jaki widzimy na statuetce Goetego z r. 1818, i jaki utrzymał się po dziś dzień.

Wszystkie trzy sztuki ubrania: spodnie, frak i surdut wyrzekały się coraz bardziej wszelkiej barwności. Na placu, jako zwycięzca, został gust Brummla, który nie uznawał innych kolorów, prócz ciemno brązowego, granatowego, ciemno zielonego „vert bouteille”.

Ale kiedy ongi tak popularny Dandy wskutek zgrania się w hazard musiał opuścić Anglię i przebywać na wygnaniu we Francji, nastąpiła reakcja długo ciemzonych barw. W r. 1832 ostatnim wyrazem szyku było zabójcze połączenie trawiasto zielonego fraka, z jasno - zieloną kamizelką i fioletowymi spodniami. W r. 1835 padło hasło: tylko zielony, (albo niebieski frak. W r. 1837, dbający o swój wygląd jeździec przywdziewał frak koloru fiołka ze złotymi guzikami, a do tego spodnie z białego aksamitu. Wytworzył z r. 1840 do błękitnego fraka dobierał tylko lila kamizelkę i białe spodnie, chyba że dał pierszeństwo frakowi z materji mieniającej



1832 r.

się brązowo i zielono przy żółtej kamizelce. Lord Bulwer widział raz Disraeli’ego, późniejszego lorda Beaconsfield’a, któremu w początkach jego kariery towarzyskiej specjalnie chodziło o to, aby wyrobić sobie opinię dandyśską,—na proszonym obiedzie w zielonych aksamitnych spodniach, kanarkowej kamizelce, płtykich trzewikach ze srebrnymi sprzączkami i w koronkowych mankietach. Wszystkie te próby powrotu do dawnej świet-



1823 r.



ności barw w strojach męskich skończyły się haniebną kapitulacją przed kolorem czarnym, który ze zgodą, lub wbrew woli wielkiego świata zapanował wszechwładnie w salonie i na ulicy. Księżna Dino aż kipiała od oburzenia, spotkawszy w latach trzydziestych w Tuilerjach księcia Broglie w... kolorowych spodniach. Nie wszyscy jednak tak bez zastrzeżeń chylili głowę przed zwycięzcą Poecin p. mieli mu wiele do zarzucenia. „Czarny strój dzisiejszych mężczyzn, — pisze Alfred de Vigny, — jest przerażającym symbolem. Aby dojść aż do tego, trzeba było, żeby łuska za łuską opadły broje, kwiat po kwiecie — hafty. Rozum ludzki rozbił wszystkie złudzenia i nosi po nich żalobę, gdyż tęskni do pociechy“.

Już w latach dwudziestych jedynym polem, na którym mężczyzna mógł rozwinąć i zaprodukować swój indywidualny gust w ubraniu, była kamizelka. Zachowała ona zresztą swoją pierwotną formę przez całe stulecie i w ciągu swego półtorawiecznego niemal istnienia częściej zmieniała barwy i materiały od kroju. Wprawdzie w r. 1821 w Paryżu zmieniła go ona pięciokrotnie w ciągu ośmiu miesięcy, to znów przez kilka lat trwała moda noszenia dwóch kamizelek jedna na drugiej: jedna pod spodem z czarnego aksamitu, na wierzchu druga z białej piki. W r. 1831 weszło w modę używać na guziki drogich kamieni. Aksamit był ciągle materiałem najchętniej używanym, jednak w 1822 r. noszono kamizelki kaszmirowe, których cena zaczynała się od 200 fr. Zresztą kolorowa kamizelka utrzymuje się bohaterko przez długie lata, aż do chwili, gdy ubranie męskie bezpowrotnie gaśnie w czerni i w ciemni.



W r. 1844 uważano za „dernier cri“ czerwona aksamitną ze złotem, lub białą atlasową pstręmi jedwabiami haftowaną kamizelkę do czarnego, wieczorowego stroju. Hrabia Rudolf Apponyi w 1834 r. w Paryżu widział księcia Devonshire w białej jedwabnej kamizelce, usianej złotymi kwiatami. Henryk Heine szczyił się swą krwawo-brunatną kamizelką. Eugenjusz Sue słynął z żywych kolorów swoich kamizelek.

W wycięciu kamizelki jaśniał żabogładki, albo z marszczonym gorse, w górze ujęty w szeroki halsztuk, z nad którym rego sterczały śpiczaste rogi kołnierzyka, t. zw. „Vatermörder“. Po układzie kraja wata i zawiązaniu węzła poznać można było prawdziwego eleganta. I tu Brummel pozostał nigdy niedoścignionym wzorem. Każdy fontaż i rodzaj węzła miały swoje nazwy specjalne. Cała literatura powstała na ten temat, i znaleźli się mistrze, którzy udzielali wskazówek i ćwiczyli licznych adeptów w trudnym kunszcie wiązania halsztuka.

Przejdźmy do wierzchniej odzieży. Płaszcz z dużą peleryną nazywano płaszczem à la Blücher.

Rok 1817 przyniósł niebieski płaszcz „pielgrzymi“ o pięciu kołnierzach, podbity białą materią, przedmiot zazdrości tych, którzy sobie na tak kosztowny strój pozwolić nie mogli. W r. 1822 było modne popielate futro, ubierane szenszylami. W Niemczech młodzież nie znała tych modnych wybrków. Studenci obchodzili się bez zarzutek i, jak pisze Karol Rosenkranz, kiedy deszcz padał, przemoknięci siedzieli na wykładach. Ernest Rietschel miał dwadzieścia cztery lata skończone, kiedy dostał pierwszy płaszcz.

Spero.

## KRZYWICA I JEJ PRZYCZYNY

Wielka wojna wyłoniła nowe potrzeby społeczne. Konieczność opieki nad młodem pokoleniem powołała do życia liczne towarzystwa, mające na celu poprawienie warunków bytu dzieci i walkę ze śmiertelnością wśród niemowląt.

Należałoby zwrócić uwagę tych towarzystw na podjęcie walki, z najczęstszą chorobą wieku dziecięcego, z krzywicą.

Karmienie dziecka piersią matki nie zabezpiecza od krzywicy, we Francji ujawniono 28, 34 proc. dzieci krzywicznych, karmionych piersią, karmionych sztucznie było 45, 30.

Najczęściej krzywica wylecza się samorzutnie, pozostawiając liczne ślady po sobie.

Podczas wielkiej wojny zdarzały się bardzo często wypadki śmierci na ciężką krzywicę, obserwować można było kilkoletnie dzieci, które przestawały chodzić. Obecnie wypadków ciężkiej krzywicy jest mniej, ale z pogorszeniem warunków mieszkaniowych ilość krzywicy wzrośnie napewno.

Ślady po wyleczonej krzywicy są najczęściej natury estetycznej, niekiedy powstają prawdziwe kalectwa zmniejszenie sprawności fizycznej, zniekształcenie klatki piersiowej, co wpływa na osłabienie działalności serca i płuc.

Krzywica przyczynia się zatem do dekadencji rasy.

Dzięki nauce o witaminach badania nad krzywicą weszły na nowe tory. Mellonby znajduje w krzywicy brak witaminy A.

Początki krzywicy są trudne do wśledzenia, dlatego badanie stanów przy pomocy Roentgena pomaga w odnalezieniu krzywicy tam, gdzie zewnętrznie niema jej śladów,

Biochemja zwraca uwagę na stosunek wapna do fosforu, brak wapna powoduje porowatość kości. Brak fosforu — krzywicę. O ile krzywienie będzie jednostajne, zawierać będzie za mało witamin, niezbędnych dla rozwoju dziecka, wtedy również występuje krzywica.

Tran ma witaminę A i niewielka jego ilość zapobiega krzywicy.

Oprócz witamin, drugim ważnym czynnikiem jest brak światła, szczególnie zaś jego działania na skórę.

Światło ma niemniejsze znaczenie od pożywienia.

Leczenie krzywicy promieniami ultra-fioletowymi wprowadzone zostało w 1914 r. i we wszystkich krajach ten sposób znalazł licznych zwolenników.



Działanie słońca przechodzi przez skórę na nerw współczulny, wpływa na organy o wydzielinie wewnętrznej, zmniejsza ciśnienie krwi, powiększa ilość wapna.

Tran i kuracja świetlna są najlepszymi środkami w leczeniu krzywicy; pod wpływem tego leczenia organizm sam przygotowuje witaminę antirachityczną. Hess i Steinbach dowiedli, że oleje roślinne nabierają własności tranu, o ile będą zostawały pod działaniem promieni ultra-fioletowych.

Najwięcej krzywicy powstaje po zimie, kiedy działanie słońca jest mniejsze w naszym klimacie.

Pożywienie winno być różnorodne z dodaniem niewielkiej ilości tranu z fosforem, który działa przez swą obecność, jako katalizator.

Preparaty wapienne mogą być stosowane, lecz największe znaczenie mają promienie ultra fioletowe, gdyż działają one skuteczniej od wszelkich preparatów. W przypadkach ciężkich krzywicy stosowanie promieni ultra-fioletowych 3 razy na tydzień działa wprost cudownie. Sen i humor dziecka się poprawia.

Kuracja tego rodzaju jest droga, ale wszystkie stacje opieki nad matką i dzieckiem winny być zaopatrzone w lampy dla naświetlań przy krzywicy.

Pomimo wyszczególnienia czynników, wywołujących krzywicę, jednak właściwa przyczyna jej nie jest znana. U dzikiego zwierzęcia krzywicy niema. Zwierzęta domowe stają się krzywiczymi dzięki sztuczemu pożywieniu i zamknięciu.

Ludzie chorują na krzywicę gdyż w naszym klimacie jest za mało działanie słońca, a pożywienie ma za mało substancji antykrzywicznych.

Chociaż prawdziwa przyczyna krzywicy jest nieznana, można ją jednak określić w przybliżeniu, jako chorobę o złej przemianie materji, wywołanej zespołem czynników, jak to brakiem pierwiastków mineralnych w pożywieniu, brakiem witamin i działaniem promieni słonecznych.

Do krzywicy mogą uspasabiać jeszcze inne czynniki, jak za forsowne pożywienie, brak ruchu, zaburzenia narządów trawienia i przebyte zakaźne choroby.

Jednakże ostatnie badania wysuwają na pierwszy plan awitaminozę i brak słońca.

Niestety i stacje opieki z lampami do naświetlań nie zabezpieczą od krzywicy, o ile dzieci będą przebywały w suterenach ciemnych, brudnych, gdzie niekiedy na powierzchni kilkunastu metrów mieszka kilkoro osób, w tem niemowlęta i drobne dzieci.

O ile nie nastąpi poprawa warunków mieszkaniowych, krzywica będzie czyniła ciągłe postępy.

Narazie przynajmniej urządzenie żłobków, ochronek, świetlic, gdzieby dzieci z suteren najmciemniejszych mogły przebywać cały dzień, jest wskazane przede wszystkim, w przeciwnym razie krzywica będzie czyniła coraz większe postępy, co doprowadzi do degeneracji rasy.

Dr. Gabriela Majewska.

## O ZUŻYTKOWANIU I PODZIALE MIĘSA

Dobre mięso wołowe ma kolor krwisty, powinno być pulchne i soczyste, łój mieć jasno żółty — nie być za tłuste, ale i nie chude. Zbyt ciemny kolor dowodzi, że mięso jest ze starego zwierzęcia, a zatem twarde i łykowate. Choć mięso wołowe nie jest sezonowe, bo jada go się cały rok — jednakże w zimie więcej jest używane. Pieczeń, rozbef i kotlet powinny poleżeć w chłodzie ze 24 godzin, aby skruszały. Najwięcej używane części są: polędwica — rozbef, antrykot, zrazowa i krzyżowa. Pragnąc przyjść z pomocą niedoświadczonym gospodyniom, postaram się poglądowo wytłumaczyć jak się dzieli mięso i na co się którą część używa, posilkując się wskazaniami na rysunku i cyframi.

1. Zrazówka najlepsza na pieczeń—sztufadę.
2. Krzyżowa, mięso smaczne, soczyste na pekeflejsz—od góry z kwiatkiem czyli tłuszczem, znakomite na rosół i sztukę mięsa, dalej na befszyk—różową pieczeń etc.
3. Środkowa zrazowa po skruszeniu dobra na pieczeń, sztufadę — zrazy etc.
4. Łojówka tylko na rosół i amatorską sztukę mięsa, zwierzchu rozbef, pod spodem polędwica, najdelikatniejsza część mięsa.
5. Pasek na kotlety
6. Skrzydło na zrazy — kotlety, pieczeń siekaną. Ogon na zupę i potrawę.
7. Łopatka, czyli szponder, mięso przerastałe na rosół.

8. Góra, mięso czerwone łykowate — do wygotowania na smak, buljon, zdatne na wszelkie siekaniny.

9. Kotlet, czyli antrykot używany na rozbratle.

10. Żebra, na smak i buljon.

11. Kark na buljon, lub smak, mięso na gulasz

12. Mostek na rosół i sztukę mięsa.

13. Goleniowa na buljon.

14. Głowa na potrawę — wewnątrz mózg na paszteciki, kotlety, pulpeciki do rosółu, majonez.

Ozór na potrawę, lub do peklowania.

15. Pas krzyżowy na rosół.

16. Nogi, na galaretę do połowy z wieprzowemi.

17. Cynadry (wewnątrz) zdatne na potrawę.

18. Flaki po należytem wyczyszczeniu — mięsko ugotowane, cienko pokrajane i dobrze doprawione są doskonałą potrawą.

### Mięso cielęce.

Dobra cielęcina powinna mieć mięso i tłustość białe, najsmaczniejsza z dwumiesięcznego, odpowiednio karmionego cielęcia. U nas trudno o dobrą cielęcinę — biją bowiem nawet tygodniowe cielęta. Mięso takie jest rzadkie, flakowate, po upieczeniu, lub ugotowaniu mało podzielne — do siekania nie spore, bo błony i żyły zamiast posiekać się, owijają się naokoło walca od maszynki. Nawet w sezonie wiosennym, kiedy cielęcina jest najtańsza, nie oplaca



się, bo dla przeważnie sprzedawanego złego gatunku mięsa, trzeba jej brać większą ilość jak potrzeba. Najwięcej używane części są: dyszek, czyli ćwiartka, forszlak z nerką — comber — mostek — górka — Mięso cielęce dzieli się podobnie jak wołowe. (rys. II).

1. Górka na kotlety właściwe, lub comber.

2. Forszlak z cy-naderkami.

3. Dyszek czyli ćwiartka na pieczeń — sznycle, zraziki.

4. Mostek na potrawę, lub faszerowany do pieczenia.

5. Łopátka na siekane kotlety.

6. Nóżki do smażenia, na potrawę, lub na galarete.

7. Głowka na potrawkę — wewnątrz mózdzek na paszteciki i kotlety — ozorek na potrawę.

8. Wątróbka używa się smażona, duszona i do paszтетów, lekkie czyli płucka gotowane i siekane ze słodko kwaśnym sosem. Kreszki cielęce, delikatniejsze jak wołowe flaki, stanowią amatorską potrawę, zagranicą bardzo rozpowszechnioną.

**Mięso wieprzowe.**

Najlepsza wieprzowina jest z młodego wieprza. Kolor mięsa powinien być blado różowy, tłuszcz biały, jędrny. Ze starego wieprza mięso łatwo poznać, jest ciemne, twarde, suche i naturalnie niesmaczne. Szczególniejszą uwagę trzeba zwracać przy kupnie wieprzowiny, aby nie kupić mięsa z węgrami, poznać je można po maleńkich białych kulkach wewnątrz mięsa. Takie mięso jest nadzwyczaj szkodliwe — człowiek bowiem dostaje od niego solitera. Z ładnie upasionej młodej sztuki słonina powinna być gruba, biała, łatwo topliwa. Najwięcej używane części mięsa są: szynki — poledwice — schab. Mięso wieprzowe dzielimy tak, jak to rys. III wskazuje:

1. Szynka zadnia do marynowania — na świeżo na pieczeń.

2. Golonka czyli szynka przednia do marynowania, lub do pokrajania na kielbasy lepsze.

3. Schab z żeberkami na kotlety do upiecznia, lub do zamarynowania po zdjęciu z kości. Wędzi go się w wołowych kiszkach, kontnicami zwanych. Jest to tak zwana choć niesłusznie — poledwica.

4. Boczek zamarynowany i uwędzony, doskonały na surowo; gotowany z jarzyną.

5. Karkowizna czyli szynka w pęcherzu (t. z. baleron).

6. Ogon na grochówkę.

7. Podgardle do salcesonu, kiszek i t. d.

8. Głowizna do nasolenia i wędzenia, może być faszerowana.

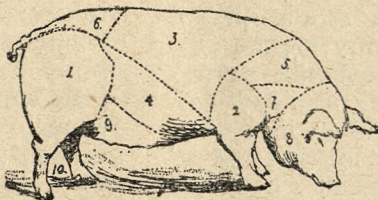
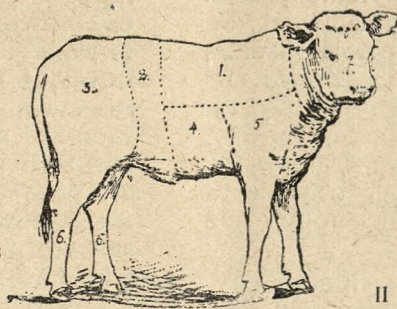
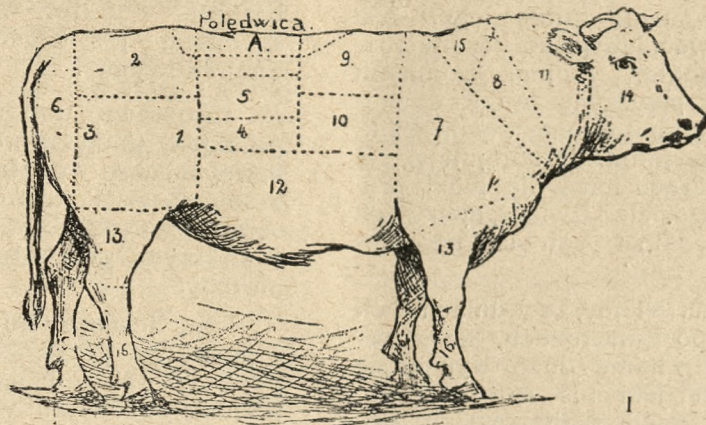
9. Słabizna — mięso na kiszki, kielbasy i salceson.

10. Nogi na galarete.

Pod skórą jest słonina. Wnętrznosci są okryte

warstwą tłuszczu, który starannie trzeba odjąć. Z dwóch stron podbrzucha przyrośnięte do skóry są poście sadła najlepszego, które oddziera się — i albo topi na szmalc — albo posolony związa ciasno i zaszywa we własną błonę — i używa zamiast tłuszczu na okrasę. Szmalcu od kiszek nie należy mieszać ze szmalcem z sadła bo zawsze zachowuje niemiły odór i może być stosowany tylko do gorszego użytku. Pod schabem wzdłuż krzyża są prawdziwe poledwice, nadzwyczajnie delikatne — które z większych sztuk można marynować i wędzić w pęcherzach. Z wątroby robi się kiszki paszтетowe, z krwi ugotowanej i przetartej, wymieszanej z kaszą tatarską robi się kiszki zwyczajne — do napychania służą wymyte, solą wytarte i wymoczone wnętrznosci.

Z żołądka robi się salceson. Ozorek używa się do salcesonu, mózdzek b. delikatny stanowi prawdziwy przysmak. W razie braku wnętrznosci na kielbasy można kupić cienkich kielbaśnic wołowych. J. S.



## BUFETY NA ZABAWACH

Zaczął się karnawał i zaczęły się znów utyskiwania gospodyń, organizatorek różnych zabaw, że włożona przez nie kilkodziwna nieraz praca, zmarnowanie zabawy przecałonocne wystawanie za bufetową ladą, nie przyniosły żadnego rezultatu, a raczej dały rezultat ujemny — gdyż bufet przyniósł deficyt.

Co prawda w pierwszych latach naszej niepodległości państwowej narazie wygłodzenie po wypędzeniu Niemców, potem przy inflacji samorzutnie mnożące się miliony, które każdy śpieszył wydać, bo jutro nic warte nie będą, powodowały, że naj-

większe zapasy jadałki znikwały momentalnie, największe ilości napoi wypijano.

Dzisiaj się ludzie z groszem bardzo rachują i niechętnie go wydają, a obfitość wszelkich darów Bożych jest tak wielka, że każdy może dobrą kolację zjeść w domu, co wobec coraz późniejszych godzin zjazdu na bale jest poniekąd koniecznością.

Nie w tem jednak jest główna przyczyna niepowodzenia bufetów. Ciężkie czasy powinny przeciwnie dobrze wpłynąć na ich frekwencję, — bo nie każdy może sobie pozwolić na kolację w restauracji, rodzina z kilku osób złożona, gdzie jest kilka córek



i kuzynek, lubiących tańczyć, student, czy młodziutki oficer, starszy pan, któremu już ciężkie dania w nocy nie służą, będą zawsze stanowili wdzięczną klientelę bufetu, o ile w nim znajdą dobrą i taną: kawę lub herbatę z ciastkami, tartynkami i — kieliszek wódki. — Tak, proszę się na mnie nie oburzać, powiedziałam kieliszek wódki, i nie cofam tego. Nie moją rzeczą jest moralizować, lub pisać uczone rozprawy o szkodliwości alkoholu. Mojem zadaniem dzisiejszem jest wynaleźć przyczyny braku dochodowości bufetów na zabawach dobroczynnych. Większość zabaw, ze względu na młodzież studującą, na urzędników zajętych w biurach i wogóle ludzi pracujących, odbywa się w niedziele i święta, albo w ich wigilie — otóż dnie te są dniem prohibicji napojów wyskokowych.

Nie przeszkadza to, jak wiemy, że w dniach tych zbierają setkami pijanych po rysztołkach, że w restauracjach w te dni niesłychanie dużo wypija się wody „mineralnej“ i zwykłej jakimiś dziwnymi dozami, podanej w szklaneczkach szampańskich do połowy tylko nalanych.

Natomiast na balu wymagamy od panów — no i od pań, w imię równouprawnienia, aby tykali suche tartinki noc całą, a energię i zapas życia do tańca czerpali w mdłej herbatce i cienkiej lemonjadzie. Wszelkie zakazy i prohibicje mają tę właściwość, że tysiące ludzi specjalnie skłaniają do ich obchodzenia, mamy tego przykład rażący w Ameryce, gdzie jest zupełna prohibicja napojów wyskokowych i dotąd idą największe ilości wódek, win i likierów z całej Europy, aby być przeszmuglowane wewnątrz kraju, lub wypite na statkach, krążących w odległości trzydziestu mil od brzegów, to jest tam gdzie ramię policji już nie sięga.

Nasza ustawa antyalkoholowa zabrania nie użyć, ale tylko nadużycia alkoholu, tam więc gdzie rodzaj zebrania i osoby jego organizatorek są znane i dają gwarancję, że żadne nadużycia nie będą mogły mieć miejsca, powinno zebranie być traktowane, jako zupełnie prywatne i sprzedaż alkoholu w niewielkich ilościach dozwolona. Drugą przyczyną niepowodzenia jest karota, a właściwie strach przed nią. Znowuż czasy inflacji przyzwyczyły piękne panie, że za szklaneczkę wodnistego kruszonu, zabierały całą zawartość pugilaresu admiratorów, lub chociaż dobrego znajomego i dumnie spoglądały na świat z ponad piętrzących się na tacy bezwartościowych papierów. Dzisiaj chociaż nasz złoty zachwiał się nieco i jego stosunek do dolara jest mniej korzystny, niż przed rokiem, złotych tych jest niewiele, zarobić je trudno i to, że piękna pani X. lub Z. siedzi przy szampanie, lub kruszonie nie przyciąga — lecz raczej odstrasza publiczność.

Trzecią przyczyną niepowodzeń bufetowych jest absolutny brak rachunkowości przy ich urządzaniu. Panie sądzą, że skupując zapasy z pół Warszawy i szyskując góry jadła na platerach i półmiskach, zapewniają powodzenie swemu przedsięwzięciu.

Otóż urządzenie bufetu należy zaczynać od wzięcia ołówka w rękę i obliczenia możliwego zeń dochodu, chociażby na zasadzie cyfr, osiągniętych i ilości dań spożytych na ostatniej zabawie. Stosownie do tego należy sporządzić jadłospis i ułożyć kosztorys. Nie należy nigdy się bać, że czegoś zabraknie, — bufet, w którym przed końcem zabawy są pustki — jest właśnie ideałem bufetu pod względem dochodowym.

Pozatem unika się przymusowego rozbiernia pomiędzy gospodynie zwietrzałych mięs i obeschłych kanapek, albo odsyłania do ochronek ostrych tartinek z serdelami i korniszonami, lub do inwalidów, czy szpitali ciastek kremowych dobrze podkwaśnialych. Pierwszym przydałyby się lepiej butki, drugim papirosy.

Są jeszcze bufety składkowe, na które każda z gospodyń przysyła mięsa, lub ryby, ciasta, lub napoje. Te ostatnie są oczywiście niezawodne. Jeżeli jednak porównać wysiłek materialny ofiarodawczyń z nikłym rezultatem dochodowym, — olbrzymie sumy pochłaniania wynajem naczyń, opłata usługi, karmienie jej, orkiestry i rozmaitych nieokreślonych osobistości przez noc całą, — to się okaże, że żeby sumy wydane przez poszczególne gospodynie na dary, wpłynęły w gotówce, dochód z zabawy by się podwoił, czy potroił nawet. Tu muszę jeszcze na rzecz jedną zwrócić uwagę. We wszystkich resursach, kasynach, hotelach, gdzie się wynajmuje sale na zabawy, jest restauracja stała. Otóż instytucja ta powinna być rada, że zabawa przyczynia jej frekwencji i nie zardzościć bufetowi dobroczynnemu, który przecież ani gorących dań nie wydaje, ani na większe libacje nie pozwala. Otóż tutaj jest zupełnie inaczej — wmuśsza się swoją służbą, swoje naczynie, swoją kawę i herbatę, zabrania sprzedaży trunków i nawet kruszonu o ile nie są wzięte z restauracji, co znowu powoduje ich straszną drożyznę, — gdyż wszystko jest liczone wyżej, niż ceny normalne. Służba, przywykła do surowej kontroli właściciela restauracji, pod niewprawnem i łagodnem okiem dobroczynnych pań popełnia różne drobne malwersacje, i t. d. Otóż raz na zawsze, o ile jakaś sala ma zobowiązanie względem restauratora i nie może dać zupełnej swobody działania instytucji bal urządzającej, lepiej bufetu wcale nie urządzać, natomiast umówić się z restauratorem o rabat od obrotu dnia tego, co przy dobrej kontroli może niezły dać dodatek do dochodu z zabawy.

Chcąc, aby bufet dał dochód pewny, należy go nie przeciążać ilością jadła, dbając natomiast o jego jakość. Wszystko przyrządzić w domu po rzeczywistych cenach kosztu. Zdobyć pozwolenie na trunki w umiarkowanej ilości sprzedawane. Mieć własną, pewną i uczciwą służbę. Trunki brać z wymówieniem, t. j. z prawem zwrotu wszystkich nieodkorkowanych butelek, przy obstalowywaniu ciast, pączków i tortów, wymagać, aby liczone ceny hurtowe, jak do sklepów zajmujących się dalszą sprzedażą. — o czym panie, albo nie wiedzą, albo zapominają.

Pani Elżbieta.





## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### KIEŁBASA NA ŚWIEŻY UŻYTEK.

Nawet w miastach, jeżeli można dostać świeżych, dobrze wyszlamowanych kiszek, oplaci się kiełbasy robić w domu. Głównym warunkiem dobroci kiełbas do smażenia jest, aby je robić z drobnokrajanego, a nie siekanego, lub mielonego w maszynce mięsa. Otóż wziąć po połowie chudą i tłustą, przerastałą wieprzowinę (nie słoninę), zastudzić ją dobrze, aby stwardniała i dała się dobrze krajać, ostrym nożem krajać ją w drobną kostkę. Na cztery kilo takiego mięsa wziąć dziesięć deka soli, deka majeranku przesianego i pół deka pieprzu prostego, dodać dwadzieścia deka cebuli utartej na tarce i 2 do 3 szklanek zimnej wody, wyrabiać masę rękami, nakładać przez rurkę, znajdującą się zwykle przy maszynkach do siekania mięsa, do czystych kiszek wieprzowych. Nie nakładać zbyt tęgo, bo przy smażeniu, czy gotowaniu pękają, po zrobieniu wrzucić na godzinę do bardzo zimnej wody, wyjąć, osuszyć w przewiewnym miejscu i trzymać zawieszane na żerdce (kiju) w chłodnej spiżarni. Można je tak trzymać do 2-tych tygodni.

### KARTOFLE NADZIEWANE.

Bardzo duże kartofle starannie umyć i otrzeć ściereczką. Zerznąć wierzchy, łyżeczką żelazną wydrążyć środki, tak, aby na palec miększa pozostało przy łupinie. Masę kartoflaną przepuścić przez maszynkę, na dziesięć dużych kartofli dodać trzy cebule spore, utarte na tarce, lub przepuszczone razem przez maszynkę, dobra łyżkę masła, łyżeczkę soli, łyżeczkę majeranku i trochę pieprzu. Wyrobić masę dokładnie, włożyć napowrót w kartofle, zakryć wierzchami, obwiązać grubą nitką, włożyć w piec i upiec w nim, jak zwykle kartofle. Podawać do surowego masła, lub też podać do nich oddzielnie zrobiony sos cebulowy, albo grzybowy ze śmietaną.

### KROKIETKI Z KARTOFLI.

Stanowią elegancki garnitur do kotletów z kury, lub cielęcych, odbijanych. Trzy funty kartofli obranych, ugotowanych, przetrzeć przez sito, lub przepuścić przez maszynkę do mięsa, dodać trzy jaja, osolić, wyrobić doskonale, robić z tego okrągłe gałeczki, lub podłużne, cienkie kawałeczki, utarzać je w bułce i smażyć na rumiano w obficie rozpuszczonym smalcu.

### BLINY RUSKIE NA PIWIE, BEZ DROŻDŻY.

Rozbić do białości sześć do siedmiu żółtek, osolić, rozprowadzić litrową butelką jasnego piwa, dosypywać wciąż mieszając tyle mąki, pół na pół hreczanej i pszennej, aż się zrobi masa nieco gęstsza niż na naleśniki. Ubić sztywną pianę z pozostałych białek, ostrożnie wzmieszać, ustawić naczynie z ciastem w misie ze śniegiem, lub lodem, aby piana nie opadła. Ustawić na rozpalonej blasze kilka natelerek niedużych, zwykle do blinów używanych. Smarować je roztopionym masłem, nalewać nie grubo ciasto i piec, rumieniąc z obu stron. Upieczone bliny

składa się do metalowej nelsonki, lub salaterki z pokrywą, aby nie ostygły, gdy upieczone, natychmiast podawać. Do nich w jednej sosierce roztopione masło, w drugiej dobrą, świeżą, kwaśną śmietaną.

### BUDYŃ ANGIELSKI.

Dziesięć deka szpiku wołowego z rury usiekać drobno. Dwadzieścia deka bułki pszennej wymoczyć w mleku. Dziesięć deka masła utrzeć na śmietaną, dodawać po jednym sześć żółtek, dodać wyciśniętą i dokładnie roztartą bułkę, dwadzieścia deka cukru, usiekany szpik, dziesięć deka czarnych, drobnych rodzenek, kilka gorzkich i kilkanaście słodkich migdałów, drobno utłuczonych, nieco skórki cytrynowej i na koniec ubite na pianę białka. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać bułeczką, włożyć masę, zamknąć szczelnie pokrywą i wstawić w rondel z wrzącą wodą. Woda powinna sięgać do połowy formy tylko, gotować półtorej godziny, lub nieco więcej. Do budyniu podawać sos szodonowy, lub też po wyłożeniu go na półmisek oblać go paru łyżeczkami rumu i zapalić. Płonący podaje się na stół, a oddzielnie syrop owocowy, lub sos owocowy gorący. Budyń ten, bardzo w smaku przypominający plum-pudding, jest od tego ostatniego o połowę tańszy, lżejszy i dla słabych żołądków strawniejszy.

*Pani Elżbieta.*

## KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

*Pani H. O. cukrownia Madel.*

Widocznie ziemia jest nieodpowiednia w ogrodzie Sz. Pani dla orzecha włoskiego, który najlepiej rośnie w gruncie gliniasto-marglowym. Dla wzmocnienia skorupek trzeba zasilić go wapnem i fosforem. Okopawszy drzewo w pewnej odległości od pnia podwójnym rowkiem, dodać potrzebnych nawozów, nie mieszając ich ze sobą, a dolegliwość powinna ustąpić.

*Dla Kazika—Warszawa.*

Odpowiedź Pani musiała czekać swej kolei w „Bluszczu“, gdyż nie załączyła Pani swego adresu, o co szereg razy prosiliśmy nasze Czwłtelniczki.

Pożywienie małego powinno być lekkostrawne, a bardzo pożywne, podawane często w małych ilościach — zastosowane do gustu dziecka, które nie mając apetytu, jest pewno bardzo grymasne. Ubić trzeba ciepło, ale lekko, wszelkie wełniane kombinacje tak bardzo dziś używane, będą wskazane. Hartować trzeba bardzo ostrożnie, przyzwyczajając powoli tak do ruchu, jak powietrza — ręczę, że gimnastyka rytmiczna umiejętnie i bez zmęczenia stosowana przyniosłaby dobre rezultaty, to jednak powinien przepisać lekarz, znający przyczynę choroby. Co do postępowania z dzieckiem sądzę, że łagodna choć bezwzględna stanowczość, wielka cierpliwość, zainteresowanie nauką pogładową — zabawą myślącą i ciągle zajęcie dziecka powinny dać dobre wyniki.

*Pani Ninie z Radomia.*

Przepis na pierniki umieszczony był w „Bluszczu“ przed świętami. Podłogę z desek starannie pokito-

**DR. MED. J. SWITALSKA**

Krucza 31 m. 3 telef. 102-77

Choroby skórne i kosmetyka lekarska. Ordyn. wyłącznie dla kobiet od 5-7 (dla pań z prowincji w święta od 2-3).



wać, pociągnąć pokostem. Gdy pokost wsiąknie i wyschnie, równo lakierować gotowym lakierem, lub preparacją olejną, którą po wyschnięciu również polakierować. Lakier można przyrządzić w domu w sposób następujący: 10 dk. brunatnego szellaku, mały kawałek białego mydła, łyżkę boraksu w proszku i trochę farby „Ugru“ rozgotować w 1 $\frac{1}{4}$  litra wody, gdy wystygnie, nacierać podłogę równo kawałkiem flaneli. Zaprawa ta jest trwała, odpowiednia na podłogę z desek. Meble na biało lakierować lakierem spirytusowym—pociągać pendzlem zawsze w jedną stronę, dobrze i cienko rozprowadzać.

*Pani I. R. Zaporze.*

Maszyny do prania tak parowe, jak elektryczne znajdzie Sz. Pani w firmie Halski—Kraków Sukienice 21—22. Napisawszy pod wskazanym adresem, dostanie Sz. Pani cenniki i potrzebne informacje. Na drugie pytanie udzieli Sz. Pani odpowiedzi dział kosmetyczny.

*Pani H. L. w Brześciu.*

Ściegiem pocztowym wyszywa się, wkluwając igłę w połowie poprzedniego ściegu — przez co formuje się rodzaj sznureczka, trzeba uważać, żeby ściegi były równe i małe. Naukę szycia umieszczamy w najbliższym № „Bluszczu“. Jeżeli aplikacje są na grubym materiale z sukna, lub aksamitu, można je lekko przylepić, następnie obdzierać, lub obszyć ściegiem dowolnym. wycina się materiał z pod aplikacją koronkowych, lub haftu, to się nazywa inkrustacją.— O podziale i różnych gatunkach mięsa pisać będziemy również w jednym z najbliższych numerów naszego pisma. Grzebienie celuloidowe bardzo są niezdrowe dla włosów. Dzielanie się włosów jest dowodem ich choroby—trzeba spróbować przycinać końce raz na miesiąc, jeżeli pomimo to dzielić się nie przestaną, udać się po radę do lekarza. Do wody do prania pończoch wsypać garść soli kuchennej — do płókania dodać trochę octu—prać w wodzie zaledwie letniej. „Bluszcz“ w Rosji prenumerować można.

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 4

56. Suknia z różowego crêpe satin, przybrana listeczkami ze skórki złoconej.
57. Suknia z czarnego velours chiffon dół z czarnej georgette'y, przybranie z dżetów.
58. Suknia z georgette'y koloru parme, haft złoty.
59. Suknia z crêpe de chine'u lila rose haftowana brylancikami i srebrnym dżetem.
60. Suknia z tafty i georgette'y amarantowej, przybrana srebrem.
61. Suknia z deseniowej georgette'y objęta gładką materją.
62. Płaszcz z gładkiego i deseniowego rezedowego jedwabiu
- 63—64. Palto z aksamitu, lub sukna przybrane futrem
65. Płaszcz z jedwabiu szmaragdowego i złotej koronki.
66. Palto z szarego zamszu przybrane futrem.
67. Suknia z sukienki rudo-brązowego.
68. Suknia z wełny w kratę z gładką kamizelką.
69. Zakładzik reniferowy, okładany oposami.
70. Sukienka z wełny w kratę i gładkiej dla dziewczynki sześciolatniej.
71. Paltocik z angielskiej wełny dla dziewczynki sześciolatniej.
72. Paltocik przybrany futrem dla pięcioletniej dziewczynki.
73. Ubranko dla małego chłopczyka.

74. Sukienka z lekkiej wełny w dwóch kolorach dla dziewczynki sześciolatniej.

75. Sukienka z ponsowej popeliny dla dziewczynki dwunastoletniej.

76. Fartuszek z barwnej satyny, przybrany satyną jednokolorową.

### WZORY.

73. Wzór na storę — haft richelieu.

74—75—76—77. Motywy do aplikacji na sukniach.

**UWAGA:** Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu“ po cenach następujących: obrus makatka-ekran zł. 2.50; poduszka-serwetka zł. 1.50; drobne desenie groszy 75.

Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3.50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2.50
bluzka . . . . .	„ 2.00
formy dziecinne . . . . .	„ 2.00
bielizna . . . . .	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeratorów nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.

## Nadesłane do Redakcji.

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada).

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI

**ZROZPACZONEJ.** Tłustą cerę trzeba zmywać parę razy dziennie PUREOLEM, nasączonym na kawałek waty, co jednocześnie ochroni od tworzenia się wągrów. Na drugie pytanie będzie odpowiedź w następnym numerze.

**SYBILI.** Cerę prawidłowo pielęgnuje KREM ABARID, wcielany w bardzo małej ilości na noc. Rano myć ciepłą wodą i otąbkami abaridowymi bez mydła. Wychodząc z domu, bezwarunkowo zaopatrzyć się w pudre abaridowy, który ma szczególne własności higieniczne, chroniące od wpływów atmosferycznych.

**MARJI Z.** Piegry, plamy nawet żółciowe usuwa natychmiast krem PRECIOZA. Przeciw łupieżowi skrapiać głowę TETRALEM, co ochroni jednocześnie od wypadania włosów.

M-me Ercedés.  
Skład główny „Perfection“ Warszawa, Szpitalna 10.





## Dział Zleceń przy Administracji „Bluszczu“

POWOLNI ŻYCZENIOM WIELU NASZYCH CZYTELNICZEK Z PROWINCJI, CELEM UŁATWIENIA IM CZYNIEŃ ZAKUPÓW ARTYKUŁÓW, KTORYCH NIE MOŻNA OTRZYMAĆ W MIEJSCU ICH POBYTU, OTWIERAMY PRZY NASZYM TYGODNIKU DZIAŁ ZLECENI, KTÓRY BĘDZIE MIAŁ ZA ZADANIE BEZZWŁOCZNE I BEZPŁATNE WYKONYWANIE WSZELKICH ZLECENI, ODNOŚNIE DO TYCHŻE ZAKUPÓW.

DZIAŁ ZLECENI OBEJMUJAC BĘDZIE 3 PODDZIAŁY, A MIANOWICIE:

- 1) Księgarski.
- 2) Przedmiotów ułatwiających ekonomiczne prowadzenie gospodarstwa domowego,
- 3) Kosmetyków, specyfików leczniczych i innych środków aptecznych.

W KAŻDYM NUMERZE „BLUSZCZU“ BĘDZIEMY PODAWAŁ SPIS ARTYKUŁÓW DO NABYCIA I ICH CENY.

WYSYŁKA USKUTECZNIANA BĘDZIE WPROST Z WYTWORNI, WZGLĘDNIE Z PIERWSZYCH ŹRÓDEŁ, PO CENACH NAJNIŻSZYCH, PO PRZYSŁANIU WRAZ Z ZAMÓWIENIEM PODANEJ W OGŁOSZENIU CENY KUPNA I KOSZTÓW PRZESYŁKI. O ILE WYSYŁKA MA NASTĄPIĆ ZA ZALICZENIEM POCZTOWEM, NALEŻY PRZYSŁAĆ PRZY ZAMÓWIENIU TYTUŁEM ZALICZKI 10% CENY KUPNA (DO WYSOKOŚCI 5 ZŁ. MOŻNA PRZESŁAĆ ZALICZKĘ ZNACZKAMI POCZTOWEMI).

ZAMÓWIENIA ADRESOWAĆ: ADMINISTRACJA „BLUSZCZU“ DZIAŁ ZLECENI, WARSZAWA, PLAC ZAMKOWY 99.

### Dział księgarski poleca narazie następujące książki:

Zofja Machowiczowa . . . . .	„Zbiór Monogramów” z przesyłką . . . . .	zł. 5.—
J. Conrad . . . . .	Sześć Opowieści . . . . .	„ 1,95
„ . . . . .	Smuga Cienia . . . . .	„ 1,95
J. London . . . . .	Odszczepieniec . . . . .	„ 0,95
E. G. Wells . . . . .	Wehikuł Czasu . . . . .	„ 0,95
W. Gomułicki . . . . .	Siódme Amen . . . . .	„ 0,95
A. Dumas . . . . .	Dama Kamelijowa . . . . .	„ 0,95
Winawer . . . . .	Lepsze Czasy . . . . .	„ 0,95
W. Grubiński . . . . .	Nowele . . . . .	„ 0,95
Tetmajer-Przerwa . . . . .	Waterloo . . . . .	„ 0,95
G. Maupassant . . . . .	Miłość . . . . .	„ 0,95
„ . . . . .	Panna Fiń . . . . .	„ 0,95
J. London . . . . .	Opow. Mórz Południowych . . . . .	„ 0,95
J. Kraszewski . . . . .	Hr. Cosel t. I. . . . .	„ 0,95
„ . . . . .	„ „ II. . . . .	„ 0,95
„ . . . . .	Ostatni z Siekierzyńskich . . . . .	„ 0,95
J. London . . . . .	Syn Słońca . . . . .	„ 0,95
„ . . . . .	Serce Kobiety . . . . .	„ 0,95
„ . . . . .	Wilk Morski t. I. . . . .	„ 0,95
„ . . . . .	„ „ II. . . . .	„ 0,95
„ . . . . .	„ „ III. . . . .	„ 0,95
„ . . . . .	Zew Krwi . . . . .	„ 0,95
„ . . . . .	Wyga . . . . .	„ 0,95
Dygasifski . . . . .	Złamane Życie . . . . .	„ 0,95
K. Dickens . . . . .	Opowieść Wigilijna . . . . .	„ 0,95
Mark Twain . . . . .	Król i Osioł . . . . .	„ 0,95
E. Ligocki . . . . .	Powrót Beatryczy . . . . .	„ 0,95

KOSZTA WYSYŁKI POLECONEJ WYNOSZĄ 45 GR.



# UDELIKATNIAJĄ I KONSERWUJĄ SKÓRĘ, MYDŁA

z silnymi kwiatowymi zapachami przetłuszczone i higieniczne wyrobu Laboratorium Apteki

WARSZAWA

M. MALINOWSKIEGO

NOWY-SWIAT 31.

152

# LUX

## CUDOWNY NOWY ŚRODEK

**NIE SKURCZY WELNY! NIE ZAŻÓLCI JEDWABI!  
NIE USZKODZI NAWET NAJDELIKATNIEJSZYCH  
MATERJAŁÓW.**

**KUPON** Do p. REIDA. Skrzynka Pocztowa 479. Poczta Główna, Warszawa.

Proszę mi przysłać próbkę mydła „LUX”.  
Załączam na opakowanie i przesyłkę groszy 15.  
Nazwisko i adres.....  
Mydlarnia w której zwykle czynię zakupy.....

Kupon ważny aż do odwołania.  
Każda osoba może otrzymać jedną próbkę.

Przedstawiciel na Polskę firmy  
**LEVER BROTHERS LIMITED (Anglja)**  
L. REID, Warszawa, Moniuszki 11  
Tel. 204-87 i 186-00

Do nabycia w składach aptecznych i mydlarniach



### WYŻSZA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

nagrodzona złotymi medalami

**L. Skwareckiej i A. Olszewskiej-Kuntze**  
mistrzyń cechu warszawskiego

MARSZAŁKOWSKA Nr. 74, m. 2, I p. front

Wyucza kroju najnowszym systemem francuskim, angielskim; wywala na podmistrzynie, mistrzynie i użytku domowy. Specjalny dział racjonalnej nauki szycia i modelowania pod kierunkiem rutynowanych nauczycielek.  
Dla p. Krawcowych kurs wieczorowy uzupełniający.

153

### BEZPŁATNIE

WYUCZA LISTOWNIE WSZYSTKICH  
STENOGRAFJI

Instytut Stenograficzny—Warszawa Dep. 47.

Zawiadamiamy Sz. Panie Prenumeratorki, że w Administracji naszej są do nabycia dołączone do „Bluszczu” w latach 1924 i 1925

## ARKUSZE WZORÓW

naturalnej wielkości robót ręcznych do kopjowania

Arkusze te można nabyć w cenie 30 gr. za sztukę, z przesyłką pocztową zwykłą 35 gr., poleconą 65 gr.

**PRENUMERATA „BLUSZCZU”**  
z przesyłką pocztową wynosi  
Rocznie—57 zł, 60 gr., kwartalnie—14,40, miesięcznie—4,80.  
Zagranicą: miesięcznie—8 zł. Zmiana adresu 30 gr

**REDAKCJA I ADMINISTRACJA**  
Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.  
Telefon Nr 239-40 Konto czekowe P. K. O. Nr 3700.